Melchior Wańkowicz

Hubalczycy

INSTYTUT WYDAWNICZY •PAX•

Rozkaz był wyraźny: zostawić cekaem z obsługą i kilku ludzi osłony. Wystarczy na ubezpieczenie od strony Szałasów. Reszta — biegiem na pomoc szwadronowi.

Tuż przy drodze stał Hubal z kapelanem. Jeszcze zadyszany gwałtownym uderzeniem na główną kolumnę Niemców, które sam prowadził. Teraz czeka na meldunek od Kisielewskiego, który spychając nieprzyjaciela zapędził się głęboko w las. Sądząc po odgłosach walki, jest już pewnie pod Samsonowem. Bliżej, nieco na zachód, bije się Alicki. Zaraz za drogą, kilkadziesiąt metrów stąd, resztki szwadronu — ze dwudziestu ludzi — powstrzymują napór tylko co zaatakowanej kolumny niemieckiej. Pozostała jedynie nienaruszona straż tylna i cekaem.

Major studiując mapę wydaje mi dyspozycje.

— Wesprzesz lewe skrzydło — mówi bez pośpiechu. — Tylko nie baw się w wojnę; będą się trzymać mocno — obejdź bokiem. Moje mp. tu w tym miejscu. Trzymajcie się, chłopcy! — ostatnie słowa skierował do oczekującego w pobliżu plutonu Drabika.

Stanowiska nasze ciągnęły się wzdłuż drogi. Niemcy

HUBALCZYCY

32

2107

Digitized by the Internet Archive
in 2026

https://archive.org/details/hubalczycy0000melc

MELCHIOR WAŃKOWICZ

HUBALCZYCY

1 9 5 9

INSTYTUT WYDAWNICZY · PAX ·

Dar nie do sprzedaży
Cadeau—vente resérvée
Gift—not for sale

Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował
TADEUSZ NIEMIRSKI

W NIEZNANE

Natłoczona izba. Podpułkownik Dąbrowski, z wypiekami na twarzy, siedzi za stołem. Podpułkownik Dąbrowski ma zapalenie płuc i czterdzieści stopni gorączki. W izbie — odprawa oficerska. To jeszcze wolne wojsko. Pistolety przy pasach, mapniki, hełmy.

— Ilu ludzi pójdzie? — pyta podpułkownik.

Ilu ludzi pójdzie? Oficerowie spoglądają po sobie. Dowodzą tymi rezerwistami od krótkiego czasu, nie mieli ich w akcji, nie znają. Oficerowie milczą. Jacyś zapaleni podporucznicy coś tam ręczą.

— Więc nie zbierze się więcej niż pięćdziesięciu? — pyta podpułkownik. Żyły mu pęcznieją na skroniach: — Nie walczę. Nie mam z czym. Nie widzę ani jednego procentu szansy na przebicie się do Warszawy.

Cisza. Nikt nie zabiera głosu, nikt nie kwapi się do wyjścia. Nikt jednym ruchem nie chce przyłożyć się do decyzji kapitulacyjnej, jak przedtem nie chciał się przyłożyć do decyzji walki. Rezerwiści uciszają siebie, że to przecie rzecz zawodowych. Zawodowi — że to przecie wojsko, że rozkaz. Katastrofa przyszła zbyt szybko, by ich wezwyczaić w inne myślenie. Rozkaz — święta rzecz. I jakże dobra! — będą bez winy.

Z ławy pod piecem wstaje oficer, którego nie znają.

Na dworze jest samo południe, ale zasłonięte okienko wpuszcza skąpo światło.

— Obejmuję pułk. Na moją komendę.

Już go rozejrzeli. Tak; to ten, co palił Ostryń.

— Majorze, ja rozwiązałem — mówi z wysiłkiem Dąbrowski. I w tym głosie jest cała groźba, cała konsekwencja długich lat służby zawodowej, cały sąd polowy. Major Dobrzański, tak się bowiem nazywa zbuntowany, docenia. Wysunął się na środek, stoi w światłej części izby. Żołnierskie oczy zebranych z upodobaniem ogarniają piękną postawę, nieskazitelny moderunek, suchy regularny profil. Dobrzański ma zacięte usta, rysę pionową przez czoło. Z tym wszystkim kontrastują oczy, które patrzą jasno i wesoło.

W Dąbrowskim, mimo minionych dwudziestu lat, tkwi watażka. Ten uzurpator wymierza policzek jego legendzie. Dąbrowski chwyta za pistolet. Robi się poruszenie. Najbliżsi chcą przeszkodzić. Nie potrzeba. Przed nimi dobiegły wspomnienia, kiedy on sam tak decydował... Wbrew wszystkiemu... Ze wspomnieniami dobiega żal, wstyd, rozpacz, uznanie. Straszna niemoc podpłynęła pod gardło, sztych przeszył płuca.

— Boże, Boże! — szlocha. Rzuca pistolet na stół. Wybiega z izby.

Ale zebranych umiejscawia suchy, spokojny głos. To major Dobrzański, który stoi za stołem.

— Jedna jest tylko przysięga — mówi — i nikt nas od niej nie zwolnił. Nikogo nie zwalniam. Ruszamy na wieczór.

Powiódł okiem po zebranych. I widząc, że się prężą, że już są pod jego komendą. dodał tonem miększym, już jak do kolegów, z którymi się wiąże na ciężki los:

— Daję oficerskie słowo honoru, że doprowadzę oddział do Warszawy.

W sto sześćdziesiąt koni ruszają o dziesiątej wieczorem. Piękny to moderunek, piękna postawa tej polskiej kawalerii. Miękka i łaskawa jest polna droga pod kształtnym kopytem, świeże i szeptliwe wierzby przy drodze. Dobry jest ostry kłus w rześkiej nocy, która się kładzie na czoło jak zimny kompres.

Major wysuwa się pierwszy. Odtąd już aż do śmierci zawsze pierwszy będzie prowadził w niebezpiecznych przejściach.

Gdy weszli w zagaj, major, okryty kocami, przestudiował mapę. Poszli szybkim pochodem w dół Narwi, na dzień zapadli w jakiejś wioseczce, otoczonej nadnarewskimi błotami.

Przecież to tak niedalekie były dni, kiedy miało się własne państwo, sprawną armię, czterdzieści pułków kawaleryjskich, kiedy nad zwykłym majorem kawalerii stała piramida aż do Naczelnego Dowództwa, kiedy wszystko było określone, normowane, powiązane, przygotowane warianty, kiedy od oficera żądało się rzeczy ciężkich, ale określonych — jak wysiłek, rzeczy dramatycznych, ale wyraźnych — jak ryzykowanie życia. Kiedy rzecz najcięższa — decyzja — była normowana stopniem i funkcją, wydzielona regulaminem na wąski odcinek odpowiedzialności.

W tę noc z 23 na 24 września major Dobrzański, od szesnastego roku życia, od legionów, tkwiący w wojsku, nie mający nigdy styczności z polityką, z dziennikarstwem, z pracą społeczną, nawet z pracą zawodową, nawet z „dwójką" — został sam nagle cyplem małej pira-

midki stu sześćdziesięciu ludzi, kiedy całe dowództwo odeszło w noc, w niewiadome, kiedy stacja radiowa nie odbierała rozkazów, kiedy jedyne, co było wiadome, to to, że wszędzie jesteśmy pobici przez Niemców.

Adiutant spał na ławie pod piecem szczęśliwym snem sprawiedliwego. Na zewnątrz po chałupach spali wszyscy, komu tylko było wolno, znużeni pochodem i przeżyciami. Siedząc pod obrazami za stołem, major usiłował przy pomocy niewielu sylogizmów, którymi władał, uporządkować sobie oblicze moralne swojego „buntu", stworzyć jakąś wiarę, jakąś ewangelię dla tych ludzi, których wziął pod swoją komendę, których nie pytał o zdanie, zagroziwszy nawet w impecie, że każdemu dezerterowi wsadzi kulę w łeb. A przecie to już był tydzień, jak jego Naczelny Wódz przekroczył most do Rumunii.

— Jedna jest tylko przysięga — umacniał się na duchu, przypominając słowa, które mu się powiedziały na oficerskiej odprawie.

A co będzie, jeśli zostanie sam?

Skronie mu pulsowały. Co będzie, jeśli zostanie sam? Od szesnastego roku życia nie był sam. Od szesnastego roku był w zdyscyplinowanym środowisku ludzkim. Tak dożył do swoich czterdziestu dwu lat. I nagle... co będzie, jeśli go odejdą, co będzie, jeśli się wykruszą, co będzie, jeśli jakaś władza, która może jeszcze się tam gdzieś telepie po Polsce, każe się zdemobilizować? Nie mógł sobie z tym dać rady, a noc biegła.

I tak, jak wczoraj, na odprawie, przeciął problem dla nich wszystkich tym, że nikt ich nie zwolnił z przysięgi, tak teraz dla siebie nie mógł znaleźć wyjścia nad najprostsze: „Nikt mi nie może kazać zrzucić munduru. Przecie przepisy nie mogą zabronić i oficerowi rezerwy

nosić munduru. Jeśli nawet zostanę sam — munduru nie zrzucę".

Mozolna budowa ideologiczna była skończona. Wsparty nią, będzie walczył przez siedem miesięcy.

Położył się na wysoko moszczonym łóżku i zasnął.

W wioseczce tej spędzili noc, jak zając, kiedy przywaruje, a myśliwi chodzą dokoła. Major wyprowadził oddział najbłotnistszym skrajem, wysławszy kilkaset metrów trzęsawiska sianem. Działo jednak nie dało się wlec długo. Dotarłszy do Bugu, porzucili je, zatapiając zamek w rzece. Ułani, zbywszy działa, cwałują. W stronę Warszawy — bardzo dalekiej. Taczanki, jak oszalałe, podskakują po korzeniach ledwo przetartej drogi. Po trzech kilometrach tej jazdy — strzały. Ubezpieczenie przednie melduje oddział niemiecki z czołgami i działami. Znowu strzały. Przemknęli. I długo w tej nocy słyszą za sobą strzały, którymi się wymieniają zdezorientowani najeźdźcy.

Nie mają działa i nie mają taborów. Dwie noce idą ostrymi kłusami — po dwu dobach zapadli w bagnach o osiemnaście kilometrów od Warszawy. Zrobili, licząc w linii powietrznej, dwieście kilometrów. Pod wieczór 27 września wysuwają się z bagien, wchodzą do majątku Krupki.

Dwór ich wita śliwowicą i miodem. Są półżywi, trwając w stanie ostrego pogotowia. Połowa stanu — na wartach.

A rano już wiedzą — że decyzja, że przedzieranie się, że wola dotrzymania wierności — że wszystko na

próżno. Powiedzieli im o tym uciekający z Warszawy. Z Warszawy, która kapitulowała.

Wezwano ich do ogrodu na odprawę. Żołnierz to liniowy, regularny, o przedwojennym drillu, choć zharowany. Ustawiają się w tym ogrodzie w dwuszereg — jak tyle lat po podwórcach koszar. Jak zwykle przy zbiórkach potrącają się, dobierają się, ustawiają się wzrostem, odliczają. To, co było przed chwilą luźną gromadą ludzi, którzy biegiem przybyli — porządkuje się, już nabrało kształtu geometrycznego, już coraz bardziej cichnie. Dopieroż wzrok każdego znieruchomiałego, jeszcze wolny, nim nie padnie komenda „w prawo patrz!", ustawia się, szuka punktu oparcia.

Człowiek po człowieku — oczy żołnierskie zbiegają się w jeden punkt — tam gdzie, ustawiony tyłem, stoi dowódca.

Rotmistrz Sołtykiewicz sprawił szyk, melduje zbiórkę. Major Dobrzański odwraca się i wszyscy widzą — major płacze.

— Żołnierze! Warszawa padła!

Warszawa padła! Widomy symbol walki. Przecież widzieli oddziały zaborców, bezkarnie hulające po Polsce. Szli ku tej Warszawie. Padła! Żołnierze płaczą. Są jak spłoszone stado kuropatw. Cóż teraz robić? Nic nie wiedzą. Czy ten dowódca ma jeszcze coś do rozkazywania? Więc bez dowódcy? Więc już cywile, choć w mundurach? Jakże?

Major, gdy przed chwilą stał odwrócony tyłem do oddziału, bezwiednie powtórzył gest Rzymian, którzy, kiedy przychodził skon, zakrywali twarz togą, by nikt na niej nie zobaczył bólu. A więc tak prędko przyszedł ten czas, który ważył w chałupie nad Narwią — czas,

kiedy oto został sam — on, który od szesnastego roku życia słuchał rozkazu i tkwił w szeregu.

Teraz zobaczył ich oczy, inne niż na wszystkich zbiórkach, jakie miał w życiu, zrozumiał, że przestaje być dowódcą, i pierwsze uczucie, jakie przyszło na jego bezradność, to chwytający za włosy gniew:

— Kto słaby, niech idzie do cholery!...

I już znowu — trzyma oddział w ręku. Choć na krótko.

— Nie wszystko przepadło. We Francji idzie walka. Ja nie zdejmowałem munduru od szesnastego roku życia. I nie zdejmę. A wy — jak chcecie. Kto nie chce walczyć — iść na prawo, kto chce zostać ze mną — na lewo.

Przed dwudziestu jeden laty, pamiętam, w mgliste świtanie 21 maja 1918 roku w fortecy Bobrujskiej rozległy się takie same słowa. Kapitulującego przed Niemcami Dowbora uwięziliśmy, oddziały wyruszyły na nakazane punkty, dowodził przysłany z legionów pułkownik Bartel de Weydenthal, zastępował go Lis-Kula. Poszliśmy do Legii Oficerskiej, która zdradzała załamanie, Bartel tak samo chciał przeciąć sprawę, jak teraz Dobrzański. I to samo się zdarzyło wtedy: na stronę „nie walczyć" nie poszedł nikt, na stronę „walczyć" — garstka zapaleńców. Wówczas ci bierni poczuli się na siłach, poczuli się, siłą rzeczy, w automatycznej większości, znaleźli się, nie robiąc kroku — na prawo.

Teraz, 28 września 1939 roku, w majątku Krupki pięćdziesięciu ich poszło na lewo, stu zostało w miejscu.

Tych pięćdziesięciu — to podchorążowie, młodzi oficerowie przeważnie z rezerwy, garść podoficerów.

Wśród nich w całości grupa owych dziewięciu, którzy zawrócili konie od granicy litewskiej.

Odchodzący oddali broń i najlepsze konie — pozostający zadekowawszy konie przeczekali dzień, noc i jeszcze dzień. Przyjeżdżał patrol niemiecki, pozabierał z dworu wszystkie wędliny — nie zauważył dychającego tuż cicho oddziału pięćdziesięciu konnych. Dobry znak.

Po selekcji ludzi, koni i broni, wypoczęci na schwał, ruszają nocą 29 września z Krupek — na południe. Ostrym kłusem całonocnym docierają do lasów Zamoyskiego.

Nocami roi się od ludzi i porządkuje się dla nowego stanu rzeczy Polska. Płochliwe cienie powracających żołnierzy migają leśnymi duktami. Zbrojny oddziałek pięćdziesięciu dzielnych na dobrych koniach patrzy z żalem. Czyżby już oni jedni tylko byli zbrojnym ramieniem Rzeczypospolitej?

Spotykają na dukcie człowieka w kalesonach i koszuli. „Kto obrabował?" Wskazuje ręką. Major Dobrzański sadzi we wskazanym kierunku, koń pod nim tańczy, harap zwisa z napięstka.

Za zakrętem widzą trzech cywili z karabinami, otaczających żołnierza, który już zdjął mundur. Cywile pierzchają w krzaki, ułani pędzą ścieżką na poprzek.

— Stać! Swoich grabicie?

— Broń zbieramy...

— Kula w łeb! — przecina major.

Wachmistrz Rodziewicz zeskakuje z konia, cywile rzucają się do ucieczki w trzech różnych kierunkach. Rodziewicz — znakomity strzelec, naprzód kładzie z Wisa wąsala w zakopiańskim kożuszku, potem dwóch innych.

Milcząc odjeżdżają ułani, pozostawiając nie pogrzebione ciała. Także to poczyna „zbrojne ramię Rzeczypospolitej"? Jako żandarmi, nie jako armia? Najbliższa wieś poinformowała, że straceni byli kryminalistami z rozpierzchłych więzień. Czy już w tej ojczyźnie tak gęsto wstanie anarchia i tchórzostwo, że przesłoni ich decyzję i jej sens?

Hańba poczyna ich żreć i gna jak potępieńców przez Polskę, która się nagle zapadła. Spotykają jakiś Sąd Wojskowy, z wozami pękatymi w konserwy.

— Konserwy chcecie nam zabrać? — burzy się jakiś audytor. — To bezprawie...

Rotmistrzowi Sołtykiewiczowi drga pożądliwie pejcz, tańczący cieniem po cienkiej skórze konia:

— A to nie bezprawie, że pan kapitan pobory całe życie brał, a teraz ucieka?

Kapitan patrzy na Sołtykiewicza zdumionym wzrokiem. Zjadł zęby na rozprawach, ale jego logika jest bezsilna wobec tych nonsensów.

A oni — istotnie — już wsuwają się w zaczarowany kraj szaleństwa. Że — munduru się nie zdejmuje. Że — walczy się. Wbrew nie tylko Niemcom, ale i rodakom; wbrew nie tylko rodakom, ale i sensowi.

Rodziewicz jedzie z patrolem do wsi w bok, gdzie u sołtysa jakiś oddział pono pozostawił mapy. Deszcz siąpi. Wchodzi z tej chlapaniny do domu sołtysa i zastaje ucztę. Pełno demobilizujących się łazików. Góry mięsiwa. Butelka wódy co parę cali na stole. Pijane „Niech żyje, żyje nam!..."

Stanął w progu człowiek ociekający wodą, zachlapany, w moderunku wojskowym.

— Na stypę trafiłem? — Podniosła zapuchnięte oczy nieżyczliwa niechęć. Warknął umocniony nią sołtys:

— Nijakich mapów ni ma...

— Map nie macie? Przecie wam niepotrzebne. Ruszyć się od żarcia nie chce dwa kroki?

— Panie plutonowy! — mówi zwierzchniczo jakiś major. — Czego pan chce od tego człowieka? Skoro mówi, że nie ma, to znaczy nie ma.

Pilno do kieliszka skurwielom!...

Cios w szczękę — sołtys leci pod stół. Ręce cofają się od kieliszków.

— Gospodarzu — mówi tym samym tonem starszego oficera major — jeśli macie mapy, to je oddajcie. Nie można ich trzymać, bo to przecie rządowe.

Czyż naprawdę zostali samotni w tych lasach, spłachetkach piasku, zarosionych ciemnozielonych kartofliskach, w opłotkach nędznych wsi, które grabią, co jeno mogą, ze smętnego łupu wojny? Czy może już nigdzie nie ma uczciwego ludzkiego serca, które wyjdzie naprzeciw im — partyzantom, powstańcom, romantykom?

A przecież ci partyzanci, romantycy, powstańcy wszystkich czasów mieli swoich uczonych w piśmie, swoich bardów, statystów, którzy na swoją głowę brali dorobienie uzasadnienia, dorobienie legendy do nierozsądnego zrywu serca.

Za zakrętem leśnej drogi zawarczał motor. Schwycili za pistolety. Ale w samochodzie siedział cywil — hrabia Zamoyski. Posłyszał, że jakiś oddziałek niezawisły krąży w okolicy. Pewno macie zdrożone konie? Siła w tych okolicznościach zależy na koniu... A u niego w majątku Niemcy przyaresztowali część ewakuującej się stadniny Janowskiej.

Gdyby Niemcy przyaresztowali arrasy zamkowe, ołtarz Wita Stwosza, „Grunwald" Matejki, ważne papiery MSZ — miałby może trudniejsze zadanie hrabia Zamoyski, aby przekonać o niezbędności ich odbicia. Ale konie! Mój Boże, stadnina Janowska, w której jako depozyt pozostawili czołowi jeźdźcy Rzeczypospolitej swoje bieguny!

„Jakie też tam konie mogą być?" — zastanawia się major Dobrzański i już zarządza wypad, gdy się ściemni.

Koń — to dla niego nieodłączna część życia. Kiedy jako czteroletni jeszcze chłopak coś zbroił, pomykał wraz z siostrzyczką pod żłób i tak formułował warunki kapitulacyjne gońcom rozsrożonej matki:

— Dobrze, dostanę rżniętkę, ale niech mnie mama sama spod żłobu zabierze.

Srogie ogiery, gwaranty immunitetu, biły kopytami o przeorynę. Rozochocony ojciec, do którego dotaczała się sprawa w ostatecznej instancji, wyrokował, że warunki kapitulacji mają być dochowane. W ten sposób miejsce pod żłobem stało się uświęconym tradycją azylum.

Ośmioletni chłopak przeszedł wstrząs mózgu, kiedy się zwalił — przy skoku... przez krowę. Leń koronny — zdobył jednak promocję do czwartej, w zamian za obiecane angielskie siodło.

I tak oto się stało, że — przez pasję koniarza — wdał się w pierwszą utarczkę z Niemcami, z którymi nie zamierzał walczyć, zamierzając przemknąć się ku granicy węgierskiej.

Zresztą — nie była to żadna utarczka. Pludry pierzchły. Ułani przebiegli przez ich puste kwatery, w których piętrzyły się porzucone płaszcze i tornistry, i wpa-

dli do stajen. W ciemności powitały ich nozdrza nieufne, prychliwe. Stajnia pachnąca nawozem i amoniakiem, pełna chrzęstu żutego owsa, gra jak harfa eolska, jest emanacją ciepłego kolorowego życia i prężności.

Już idą, bijąc kształtnym kopytem po deskach podłogi. W kwadracie drzwi ukazuje się ogier — płomień, ogier — wiatr. Rozwiał odsadę ogona, rozdął chrapy, toczy błyszczącym okiem osadzonym w małej kształtnej głowie. Skupili się ułani, podziwiają maść: ogier jest cały w wielkie koła sześciocentymetrowej średnicy — najprzód idzie czarny otok, w nim żółty, znów czarny i w środku biała kropka.

— Resztki dawnej rasy — mówi major Dobrzański, przebiegając ręką po grzbiecie konia, kończąc u nasady nieuchwytną pieszczotą koniarza — znakiem wtajemniczenia między jeźdźcem i rumakiem.

Bo to — dzianet Hetmański — ostatni pono z polskiego rodu, dar króla rumuńskiego dla marszałka Śmigłego Rydza.

Zajaśniało za nim w kwadracie drzwi. To śnieżnobiały arab Grom.

Gniada flegmatyczna szkapa, wysoka, chuda, noga wiązana jak konstrukcja żelbetonowa. To Dyngus, Rummlowski rekordzista w skoku wzwyż.

Czternaście koni wysokiej klasy. Ostatnia, pląsając, trwożąc się, wychodzi baletnica — klacz Irena, zwyciężczyni wielu konkursów.

Major dosiadł dzianeta, Irena dostała się podchorążemu Morawskiemu. Dyngusa, z nabytymi świeżo zołzami, prowadzą na powodzie.

Jakże lekko niesie ten dzianet. Jak marzenie! Major zagłębił się we wspomnienia.

Major Hubal z siostrzeńcem *(zdjęcie przedwojenne)*

Pierwsze międzynarodowe konkursy hipiczne w Łazienkach. Na próbnych jazdach zwaliła mu się na „fortepianie" jego Wanda. Nieprzytomnego zawieziono do lecznicy. Lód, pielęgniarka...

— Co z krampą? — pyta otwierając oczy. Każe się znieść ze schodów i zawieść do stajni. Ale Wanda jest w dobrej kondycji. I obandażowany Dobrzański staje do konkursu, bierze pierwszą nagrodę „Wisły".

W Zakopanem — na złotym kasztanie. Biedny pocztowy zbiera ciągle „opeery" od oburzonych pułkowników i generałów, kiedy na pytanie, jaki to koń, odpowiada: „Nic ci do tego." Bo tak się nazywa złoty kasztan.

Londyn... Nagroda indywidualna dla najlepszego jeźdźca wszystkich narodów. Złota papierośnica księcia Walii z napisem: „The best individual score of all officers of all nations".

Aldershot... Mały zwięzły kasztan Generał. „Czego pan ma zamiar dokonać na tym polopony?" — pytają Anglicy. A jednak Generał skacze jak piłka. Dobrzański otrzymuje pierwszą nagrodę; jest to wielki dzień Polaków (druga — Królikiewicz, trzecia Szosland).

Westchnął do wspomnień. Przesadził parę niskich sosenek. Ulubiony sposób na uspokojenie nerwów. Obejrzał się na oddział — człapali za nim, nie sprawiając wrażenia stroskanych. Żołnierz, jeśli zjadł, wyspał się, ma wypoczętego konia i dowódcę, to więcej się trapi tym, że go puślisko obciera, niż sytuacją, w której się znajduje.

PIERWSZA UTARCZKA POD MACIEJOWICAMI

Brzegiem Maciejowic spłynęli ku Wiśle. Nad nią srebrzyła się w poświacie księżycowej wieś Kępa. To tu, przeprawiając się po wąskich wirowatych ławicach, wytonął Wołyński Pułk Ułanów.

Niemcy w szerokim zasięgu przyaresztowali wszystkie łodzie i krypy, zebrali pod wsią i postawili wartę. Sowicie zapłacony rybak wykradł „bat", spłynął cicho, dwa razy obrócił, przewożąc po dwadzieścia kilka koni.

Zapadli we wsi na tamtym brzegu, odległej od Wisły o dwa kilometry. Zrobiła się siódma rano.

Czujka melduje, że pod wsią ugrzęzło w piachu siedem niemieckich ciężarówek, wyładowanych sprzętem łączności.

Major patrzy przez lornetę — tak jest, czernią się w piachu pod samym laskiem.

Są niedźwiedzie, które Białorusini nazywają „miasun". To jest taki niedźwiedź, który uświadczył, jak smakuje mięso. Z tą chwilą znika dobroduszny wegetariański misio i robi się niebezpieczny drapieżnik. To samo stało się z oddziałem, przemykającym się na Węgry, który z pasji koniarskiej zdecydował się zaatakować eskortę stadniny Janowskiej i zmusił ją do ucieczki bez walki. W każdym rozbudzona wyobraźnia kreśliła

obrazy: a co by było, gdyby nastąpiło spotkanie wręcz?

Więc teraz...

Więc teraz major wysyła w prawo na obejście laskiem rotmistrza Sołtykiewicza, plutonowego Rodziewicza i dwu ułanów. Sam z całym oddziałem, kryjąc się za wyniosłości gruntu, przesuwa się z wolna w lewo, dając czas Sołtykiewiczowi.

Gdy ruszyli do szarży, Niemcy dostrzegli ich na odległość stu pięćdziesięciu metrów.

Rzekłbyś — powtórzyła się scena pierwszego spotkania ze Szwedami laudańskiej chorągwi. Niemcy niezwłocznie pyrgnęli pod ciężarówki i spod nich otworzyli gęsty ogień. „Dobry żołnierz!" — musiało przejść przez głowę cwałującemu majorowi, jak ongiś Wołodyjowskiemu, podziwiającemu sprawność zaskoczonej z nagła rajtarii.

Konie brały pełny pęd. Szarżowali od czoła dwoma grupami. Prawą dowodził sam major, lewą kapitan dyplomowany Kalinkiewicz. Przypadli do wozów, zeskoczyli, strzelają z pistoletów pod koła. A już od tyłu doszli lasem ludzie Sołtykiewicza. Prażeni przez nich Niemcy rzucają broń, wyłażą spod wozów.

Esesmani!

— Kula w łeb! — wskazuje pistoletem major.

Młody esesman rzuca się na kolana, całuje jego buty. Dostaje strzał z góry. Bezpośrednio potem major strzela do najbliższych ze swego Waltera, Rodziewicz przyłącza się z Wisem — wykończyli ośmiu. Razem poległo dwudziestu dwu Niemców z dwoma oficerami. Jeszcze zapykały nasze kb po krzakach — jeden zbiegł.

Ułani biegają, podpalając samochody. Major z pionową zmarszczką na czole, tak charakterystyczną dla

niego, ponagla. Gorzko mu, nie wie — co z nim. Wczoraj strzelał kryminalistów, dziś bezbronnych Niemców. Wojna wyuczona z czytanek, wyimaginowana w podchorążówce, wojna z panache blanc, kultywowana w marzeniach — odeszła gdzieś, zawaliła się wraz ze światem, który go otaczał.

— Panie majorze, gotowe — meldują ułani. Wiedzą, że się odwróciła karta. Że pocznie się za nimi pościg. Patrzą w dowódcę jak w tęczę.

— Na koń!

Odjechali ze dwieście metrów.

— Zabitych wziąć na taczankę — rzuca za siebie major.

Plutonowy Rodziewicz zawraca po dwu naszych poległych — i już zastaje kilka nagich trupów. Chłop siedzi, oficerowi buty ściąga.

Spojrzeli na twarz plutonowego — zdrętwieli:

— Przecie naszych my nie tykamy; a te dranie mało nas ukrzywdzili?...

Puścił płazem. Może instynktem zrozumiał: my przed chwilą zabiliśmy jeńców, chłop obdziera trupy — obaj sposobimy się na niewiadomy czas, idziemy przez zamęt, dojdziemy do siebie.

Nasi polegli — luzak majora i jakiś podchorąży — obaj trafieni w czoła przez hełmy.

W rychłej borowinie w bok od leśnego duktu wykopali groby krótkimi łopatkami, troczonymi u siodeł. Major z dzianeta mówi pierwszą część — Pozdrowienie Anielskie:

— Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna...

— Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci. Amen. — Odpowiadają żołnierze.

Dzięcioły i leśne szare sikorki sfruwają patrzeć na ten pierwszy pogrzeb partyzantów. Leśnych grobów od tej pory narastać będzie przez długie i jeszcze nieskończone lata, w których ludzie, opuszczeni, zdawałoby się, przez Boga, rozpaczliwie w godzinę konania prosili o odpuszczenie grzechów nierozeznanych, zbrodni świętych, spraw nierozsądzonych przez konfesjonał, spraw, uczepionych pazurami o jedno — o instynkt, o wolę trwania, o walkę.

Druga seria z cekaemu starczyła za salwę. Postawili dwa krzyżyki z brzózek. Gdybyż dotrwały, aż będziemy je mogli umieścić przy grobie nieznanego żołnierza — te pierwsze krzyże samotnej walki!

Dopieroż spostrzegli — nie ma podchorążego Morawskiego. Nie widzieli, by poległ. Ruszyli.

Na lasy idą, na lasy, na lasy starachowickie. Krążą dni kilka. Gdzie wychyną — wszędzie im sygnalizują Niemców. Trudno będzie przejść ku granicy węgierskiej — konno, zbrojno, w ordynku. A inaczej nie chcą. Zasmakowali Niemców — oddział „miasun". Widać taki los — prowadzić wojnę w Polsce. Major to decyduje bez radzenia się, bez głosowań. Ciekawy rotmistrz Sołtykiewicz pyta. „Idź do cholery!" — odpowiada major. On jest wódz. On sam — waży odpowiedzialność.

Więc tylko co dzień podaje ludziom miejsce zbiórki w razie rozproszenia. Tak już będzie przez długie miesiące aż do końca oddziału. Więc tylko — każe major przybrać pseudonimy. Te pseudonimy tak zrosną się z oddziałem, że nazwiska uczestników nieraz pozostaną kolegom nierozeznane do końca.

Więc skoro pójdziemy za nimi przez osiem miesięcy — poznajmyż się.

Dowódca przyjmuje miano Hubal. Jest to przydomek rodowy Dobrzańskich herbu Leliwa — półksiężyc z gwiazdą. Na ten czas, kiedy to warte, co nie jest kundlem. Kiedy skupili się przy nim ci najtwardsi z chłopów, ci najlepsi z ziemian, ci najbardziej wytrzymali z robotników. Polska — rasowa, twarda, znaczona indygenatem charakteru, nie załgana szarą urawniłowką, kolorowa każdym stanem, jak łąka polska kolorowi się i pachnie każdym kwiatem.

Hubal-Dobrzański wnuk powstańca, hr. Lubieneckiego, praprawnuk pułkownika Dobrzańskiego, adiutanta króla Stasia, odziedziczony po nim sygnet zostawił 5 września siostrze dla córeczki Krysi. Teraz, rozdając miana żołnierzom, podejmując obrzęd dziki i obcy oficerowi służby stałej — wplątywania „Jasiów" w te tam hocki klocki konspiracyjne, ma świadomość, że poczyna grę, z której jedno widnieje wyjście — na tamtą stronę.

Żadna mnie kula nie tknęła — mówi, rozpamiętując pierwszą wojnę — ale od niemieckiej zginę.

Tak się stało.

Więc niechże się rozedrze na chwilę zasłona przyszłości i nad jego ludźmi.

Kapitan dyplomowany Kalinkiewicz przybiera pseudonim Kotowicz. Ziemianin z Trokienik pod Woronianami, ongiś posiadłości Bohusz-Szyszków, gdzie kraj leśny, jeziorny, zielony, gdzie szeroki trakt na Michaliszki, Woronę, Komaje, zawadza o Orwidów Zyndram-kościałkowskich, o cudo w oprawie wód i lasów —

Olszewo Chomińskich, o stary dwór w Honoratowie piewczyni tej ziemi, Romerowej, biegnąc wzdłuż jeziora Świr zawadza o rezydencję Skirmuntów, biegnie na Narocz. Kapitan Kalinkiewicz, instruktor podchorążówki saperów przed wojną, smukły, wysportowany, który swoim pięknym tenorem umila niejeden przemarsz, niejeden postój — przystał do tej widmowej kawalerii, do bezsensu wstającego na dawnych traktach przeciw czołgom. Wysłany przez Hubala jeszcze do Francji dla łączności, zrzucony w 1943 roku ponownie w Polsce, ginie w nierównej walce, położywszy trupem kilku przeciwników.

Porucznik rezerwy 4 Pułku Ułanów, Feliks Karpiński, przybiera pseudonim Korab. Ziemianin z Kutnowskiego (bukiet ziem zbieramy na polskiej łące!), z ziem pszennych, najświetniejszych w Polsce, porównych sandomierskim, komiliton od serca — celujący w świetnym rozeznawaniu map. Chudy „żuraw", o twarzy jaśniejącej dobrocią — wcielenie namysłu i rozwagi, hamulec na Hubala. Pracując następnie w wywiadzie w Radomsku, rozstrzelany w gestapo.

Podporucznik Iljin, z ojca białogwardzisty rosyjskiego, prawy Polak (święć się, blasku asymilacyjny Rzplitej), konstruktor lotniczy, oficer rezerwy. Zwarty, o stalowych nerwach. Ujęty na pracy konspiracyjnej, zginął w Oświęcimiu.

Podporucznik rezerwy piechoty Zygmunt Morawski przybiera pseudonim Bem. Syn podpułkownika Morawskiego, z Wielkopolski, eks-kirasjera niemieckiego sprzed tamtej wojny, rozstrzelanego w 1944 roku w oflagu w związku z tłumieniem przez Hitlera spisku na jego życie. Jego syn Zygmunt, o szalonej odwadze,

która aż gniewała Hubala („durna odwaga" — mawiał), zginął następnie tragicznie w Libii.

Porucznik rezerwy piechoty o nie odszukanym przeze mnie nazwisku, sędzia z Opoczna, który przyjął pseudonim Tchórzewski — aresztowany w następstwie przez gestapo, zamęczony po srogich torturach: darli z niego skórę, wbijali drzazgi pod paznokcie.

Plutonowy Romuald Rodziewicz, zwany w oddziale Romanem, został przy tym imieniu jako pseudonimie. Drobny ziemianin z powiatu wołożyńskiego, sam był z tatarskiego rodu, nosząc w herbie Tarnawa kołczan i strzałę (święć się, blasku asymilacyjny Rzplitej) — i siedział na stuseśćdziesięciohektarowym folwarku Ławski Bród, na szlaku dawnych osiedleńców Witoldowych, na brodach, przejściach i szlakach.

Pamiętam swoją wizytę w tym ich majątku, starego stryja Rodziewicza, zawziętego pszczelarza, majstrującego słynny rodziewiczowski krupnik, sąsiada sześćdziesięciohektarowego Litawora-Abramowicza takoż z Tatarów, rzekę Berezynkę, której brodu tu pilnowali z prawieków, toczącą przejrzyste wody przez jeden z najpiękniejszych w Polsce krajobrazów gminy Zabrzezie powiatu wołożyńskiego. Pamiętam polskość nastałą jak stuletni dębniak, język soczysty i miękki, i stałą, nie rozumującą gotowość do ofiary. Plutonowy Roman, świetny strzelec (to on ustrzelił trzech rozbiegających się w różne strony maruderów), doskonały jeździec, silny jak tur (to on zwalił jednym uderzeniem sołtysa), oddany dowódcy bez reszty, potem więzień Oświęcimia.

Plutonowy Alicki, syn chłopa z Wołynia (bukiet klas, bukiet ziem...), odważny, twardy, bez rozumowania

trwający wszędzie do końca, do końca żołnierz dywersji. Poległ w Powstaniu Warszawskim.

Plutonowy zawodowy Głowacz, z 1 Pułku Szwoleżerów. Zdegradowany za znęcanie się nad rekrutami, skazany na trzy lata więzienia, zbiegł z transportu do Legii Cudzoziemskiej, w której przebył długie lata, ponawiając z niej czterokrotnie ucieczkę, wreszcie ze skutkiem, popełnił w Niemczech bigamię; gdy się zanosiło na wojnę, podkradł żonę Niemkę i zameldował się do pułku. W oddziale Hubala nosił pseudonim Lis, pasujący do jego lisiego pyska o małych biegających oczach. Hubal cenił jego zdeterminowaną, zdecydowaną na wszystko bandycką odwagę. „Po wojnie pierwszy cię zamknę — mawiał. — Znajdziesz się na samym czubku szubienicy." Losy zrządziły inaczej, a może i nie. Po zlikwidowaniu oddziału Hubala Lis prowadził patriotyczno-bandycką partyzantkę na własną rękę. Ulubiony trick jego bandy — to było przeciąganie liny stalowej na ukos przez drogę. Pędzący samochód niemiecki wpadał w rów, w którym już czekali okrutni oprawcy. Mówią, że walczył do końca okupacji. (Święć się, ogniu niezłomnej duszy — Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi).

I znów nie odnalezione nazwisko — podchorąży o pseudonimie Dołęga, syn ziemianina z Włoszczowskiego, absolwent podchorążówki artyleryjskiej we Włodzimierzu. Adiutantował Hubalowi do jego śmierci. Nie lubiany za paniczykostwo, za przedwojenny stosunek do żołnierza do końca, w czym był swoisty fason. Bardzo dobry bojowo.

I znowu nie odnalezione nazwisko — kapral rezerwy Pomsta, robociarz gdzieś z COP-u. Cekaemiarz, trwa-

jący do końca mimo rozkazów odwołujących przy odwrocie pod Szałasami i tam zabity.

I mały Tadzio Madej, wesoły śpiewak, ulubieniec oddziału, silący się na próżno na poważny pseudonim „Nawrocki", bo u kolegów był i pozostał Tadkiem-Lotnikiem. (We wrześniu był ochotnikiem w lotnictwie we Lwowie). Chętny na wszelkie imprezy, zagorzały patrolowiec, zabity w 1943 roku przez Niemców na Marszałkowskiej.

I ten osiemnastolatek nieznanego nazwiska, Ryś, uczestnik wrześniowej obrony Warszawy, który poległ wraz z Hubalem.

I inny osiemnastolatek — Brejer — przystojny, wesoły, odważny. Trwający w oddziale do końca, nie rozstający się z bronią po końcu oddziału. Niemcy się go bali. W 1941 roku w Ostrowi Mazowieckiej, gdy wchodził do wagonu, narzucili nań z tyłu siatkę, powalili, zadeptali.

Jakże spamiętać ich wszystkich, bezimiennych? Święć się w pamięci, już poczcie duchów, bo nie ludzi żywych! Święć się w pamięci — bukiecie ziem, klas, zawodów, naczynie goryczy, studnio łaski, wieżo nonsensu, arko instynktu, ucieczko niepokornych, ratunku mężnych, odkupienie hańby, zgubo wsi na zemstę podanych, anarchio nieusłuchana, tragedio ziemi najechanej i rozdartej!

DWIE WALKI W GÓRACH ŚWIĘTOKRZYSKICH

W lasach starachowickich dołączył Bem. Okazało się, że zaspał w stodole. Śladami kopyt końskich oddziału przemachał sześćdziesiąt kilometrów.

Krążą po lasach starachowickich, ubezpieczeni siecią służby leśnej, oddanej całą duszą oddziałowi. Już nowa walcząca Polska się budzi, już poczyna krzepnąć, już ludzie znajdują drogę dla siebie, bez oglądania się na Państwo.

Ciasno się robi, trzeba się podać ku lasom suchedniowskim. Dążą do nich nocą. Jest pierwsza połowa października — cały czas leje deszcz. Wodze rozmiękły jak flaki, skręcone. Ręce białe, zmurszałe, w czerwone kropki. Wichry przejmujące. Mundury całkiem przemoknięte. Gdy nogę podejmowało się w siodle, woda wylewała się z cholewy. Z deszczem zmieszany przychodzi śnieg.

Za krótko okazało się tej nocy na przemknięcie z lasów starachowickich do suchedniowskich. Brzask ich zastał jeszcze w polach otwartych i zasiąpionych.

Kłusowali szerokim błotnistym traktem trójkami. Hubal przodem, mały, w półkożuszku, obwieszony granatami, z harapem w ręku. Groźna pionowa zmarszczka między wesołymi oczami. Pod nim niósł się Hetmań-

ski. Cętkowany jak pantera, delikatny jak dziewczyna. Nie poznać po nim nocnego marszu. Na blady poranek parskał, zad podbierał, a przednie nogi zmieniał, a rozdymał różowe nozdrza, a boczył się i udawał, że się trwoży.

Butrym prowadził zaraz za Hubalem białego Groma, luzem jak zwykle, sam siedząc na ogromnym wałachu. Szedł Tatar pod Leśniakiem — krechowiecki wyga od militari i Bucyfał pod Olendzkim, nieco krótki i gruby, ale żelazny w marszu, i pałąkowaty Szerszeń pod Skromnym, obaj specjaliści od trzymania drogi w ciemnościach.

Szedł Jastrząb pod Lisem, a Wilk pod Sępem — jakież by inne brali ludzie i zwierzęta imiona? Najwięcej było drapieżców — Orłów, Sokołów, Rysiów i Żbików. Był też, oczywiście, Bohun i Kmicic. A im większy dzieciuch, tym straszliwsze brał imię. Więc Azja i Pożoga, Zemsta i dwu Jurandów, i Scyzoryk, i czterech Jaremów, bo wszyscy rodzeni bracia i prawie równolatki.

Wszyscy ci chłopcy szli w nieznane. Wszystkim nijako się zrobiło w otwartych polach, kiedy dzień nadszedł.

Byle do lasu, byle już do lasu...

Nagle, gdy już zabłękitniały lasy suchedniowskie, ze wsi przed nimi wyjeżdża dwu kawalerzystów niemieckich.

Rotmistrz Sołtykiewicz wypiera do czoła:

— Panie majorze, cofamy się.

Hubal spojrzał zimno:

— Panie rotmistrzu, na swoje miejsce!

Niemcy na widok oddziału zawrócili. Hubal rzucił okiem w bok — jechali już groblą, mając po bokach

bagno. Wziął dzianeta w kłus. Oddział się poderwał, ludzi objęło podniecenie.

— Do cholery, nie najeżdżać! — obejrzał się Hubal do tyłu.

Wpadają w wieś — pustą. Przecwałowują wieś, biorą za nią wskos przez majdan do młyna. Zebrani przy młynie chłopi wrzeszczą:

— Dlaboga! Niemcy w krzakach!...

Kule już gwiżdżą.

— Harcownikami ku rzece!...

Już bród. Grząsko. Podporucznikowi S., w cywilu aspirantowi policji, przekręca się siodło z torbami tak wyładowanymi złotem, zagrabionym w jakimś banku, że je czterech ludzi na konia ładowało. Nieszczęsny chciwiec nie może sobie z nim dać rady. Przelatujący mimo chcą go wziąć na swoje siodło, ale nie jest w stanie oderwać się od skarbu i tak zostaje.

Oddział już dostaje się do zbawczego lasu.

Lasy suchedniowskie są jednak tylko pomostem łączącym z lasami świętokrzyskimi. Tam dąży Hubal — w dzikie, górzyste, zalesione ostępy. Tam będzie bezpieczniej niż w tych przerzedzonych lasach, które są jak wyliniała, zjedzona przez mole, ongiś wspaniała szata, a przez te wyłysienia coraz to przebłyskuje pole uprawne i wieś, a we wsi — zorganizowane i posłuszne życie, i Niemcy.

Jeszcze się z tymi wsiami nie obyli, jeszcze sądzili, że wszystko jest przeciw nim. Posyłali po paru ludzi pod opłotki zakupić żywności, jaja jedli na surowo, konie prowadzili w marszu z karmnikami na pyskach.

Niemcy po odbiciu przez Hubala stadniny Janowskiej, po wybiciu oddziału łączności, szli już tropem,

już zacieśniali. Mieli wieści o kierunku ruchu oddziału, potwierdzone ostatnio na styku z Niemcami przy przejściu brodu.

Stach Jurand, wracający z podsłuchu, meldował, że ruch samochodowy na szosie wzmógł się znacznie. Brat jego Józek słyszał w nocy przemarsz oddziału wojska przesieką H-4. Oceniał go najmniej na kompanię. Pomian, zastępca Hubala (kapitan piechoty Grabowski, który odszedł następnie do wywiadu AK w Piotrkowie), przyjął kolejno meldunki Jurandów i każdemu odpowiedział to samo: „Dureń jesteś". A jednak nawet zimnokrwisty Bem chodził stale w pasie z ładownicami na płaszczu, a chłopcy, mimo iż nie było żadnych rozkazów, przestali się na noc rozbierać, rzędy były potroczone i rzemyki poskręcane w ślimaki.

Najgorsze było to, że po apelu wieczornym Pomian zaczął znowu podawać miejsce zbiórki „na wypadek rozproszenia", budził po nocy chłopaków i pytał o nazwę tej miejscowości, która im się stale myliła z podaną w dniu poprzednim.

Przeczucia były słuszne — zabawa rozpoczęła się niezwłocznie, skoro dobili do przedgórzy lasów świętokrzyskich. Niemcy przetrząsali je ustawicznie i do uszu ułanów doleciały „A hu!... A hu!..." — jak na nagonkach.

Hubal, zmiarkowawszy odległość nagonki i jej kierunek, zatrzymał oddział przed młodym sośniakiem:

— Do zsiadania. Przez zagajnik prowadzić konie w ręku. Na drugim końcu w linię plutonów, na koń i szablę w dłoń. Sprawdzić znajomość miejsca zbiórki na wypadek rozproszenia.

„Dziczy" sośniak urwał się po trzech stajaniach

i przed ułanami otworzyła się rozległa poręba, ciągnąca się aż do szosy.

Samotne nasienniki, nie wspierane w walce z wiatrem przez stojących zwartym szykiem towarzyszy, pochyliły się na wschód, skrzypiące i krzywe. Dołem rosły kępami jałowce i z rzadka krzaki leszczyny. Po drugiej stronie poręby, za szosą, stał wysokopienny bór, przez który przedzierały się pierwsze promienie słońca. Niewidoczne w przeźroczystym powietrzu, więzły w pajęczynach pokrytych kropelkami rosy, łamiąc się i rozświetlając srebrzyste kręgi.

Na dwóch nasiennych sosnach siedziały dzięcioły i kuły na zmianę, wczepione pazurami w korę, a ogonami zaparte; budziły się też inne ptaki, i las był pełen poświstów i świergotu, nad którym górował drozd — śpiewak.

— Szarża do tego miejsca! — wskazał ręką Hubal. Bał się zagalopowania.

Niemcy wyszli z wysokopiennego lasu gęstą tyralierą, bardziej wrzaskliwi niż nagonka łowiecka. Nie dalej niż o trzysta metrów przemykały krzakami szare postacie grupami po kilku. Ułani Hubala porali się z końmi, które, znudzone, chwytały jasnozielone pędy sosenek, a każde szarpnięcie powodowało nienaturalne chwianie się wierzchołków młodych drzewek.

Niektórzy Niemcy podeszli już na dwieście metrów, a może nawet sto pięćdziesiąt. Dzięcioły przerwały pracę i lecą właśnie nad zagajnikiem, stulając co chwila skrzydła i opadając ku ziemi, by za chwilę wysilonym trzepotem odrobić utraconą wysokość. Śmignął między konie zając z wysoko postawionymi uszami.

Ściszony syk przebiegł po linii.

Wypuścili konie w skok.

Było nie dalej niż czterdzieści kroków, kiedy Niemcy zaczęli bezładnie rzucać granaty. Bucyfał stanął dęba pod Olendzkim i nie chce iść naprzód. Ale ława koni prze niewstrzymana. Już i Bucyfał goni, naginając jasnym brzuchem stojące po drodze jałowce. Z szosy odezwał się karabin maszynowy. Niemcy poczynają uciekać zrazu pojedynczo, potem grupkami, niektórzy rzucają broń, inni ostrzeliwują się na chybił trafił.

Felek Korab z kapralem Wroną dopadli pierwsi. *

Poczciwy „starszy pan" Feliks przypomniał sobie, jak za młodu zabawiał gości strzelaniem w galopie do talerzy ułożonych na ziemi. Droga obiega owalny gazon przed gankiem, z którego sąsiedzi i rodzice, oczywiście także „ona" — obserwują gonitwę. Lśniące misy leżą do góry dnem w równych odstępach.

Teraz Korab widzi przed sobą rząd błyszczących hełmów. Spina Dyngusa ostrogami. Szlachetny olbrzymi koń dobywa całą swą wspaniałą szybkość. Długi jeździec dostosowuje ruch ciała do rytmu konia i strzela miarowo dziesięć razy jak do talerzy. Zmienia magazyn.

O ile Dyngus szedł jak rozhuśtany olbrzym, ściglejsza od niego, choć o osiem centymetrów mniejsza, Irena, wyciągnęła się po swojemu równo jak struna, tak że Wrona siedział prosty i nieruchomy ze wzniesioną szablą, i gdy starszemu panu Felkowi ręka z pistoletem drgnęła — poprawiał.

Jak łozy na manežu w Augustowie koło kościoła.

Rów... szosa... rów... trzask karabinu maszynowego nad samym uchem i zaraz cisza głęboka i las kolumnowy wysokopienny, sklepiony górą jak kościół.

---

* Biorę opis szarży z opowiadania śp. kapitana Kotwicza.

Wstrzymali konie, obejrzeli się.

Długa linia harcowników mknie przez porębę na karkach niemieckiej piechoty. Koni bez jeźdźców nie ma. Na szosie o trzydzieści kroków stoi samochód pancerny. Korab z Wroną przemknęli tuż za nim i to ich ocaliło. Strzelec tylnego karabinu spóźnił się o mgnienie oka ze swoją serią. Ale biada kolegom, którzy teraz wypadną z jałowca na białą szeroką szosę.

Nim Wrona uświadomił to sobie, już Korab rzucił mu wodze Dyngusa, a sam pędził wielkimi krokami do samochodu. Wrona związał konie razem, zaczepił rzemienie o sęk sosny i skoczył za nim. Młodszy był i żwawszy od Korabia, podobnie jak Irena od Dyngusa.

Razem dopadli. Razem z dwu stron wrazili Wisy w szczeliny. Razem wypróżnili magazynki.

Właśnie Roman wyskakiwał z krzaków na szosę, a za nim Leśniak na Tatarze, starym zwycięzcy w militari, i Skromny na Szerszeniu, Pomian na przyciężkim nieco dereszu, z którego piana spadała płatami. Wyłoniły się wszystkie stare konie. Bucyfał tylko przyszedł za późno razem z młodzieżą, i z daleka było słychać przekleństwa Olendzkiego. Za chwilę przeskoczyły szosę oba juczne karabiny, które prowadził Zakrzewski.

Korab włączył na swoje miejsce na ogon oddziału.

W tej szarży, szarży ostatniej zapewne w tej wojnie na białą broń — w następnych szarżach używali Hubalczycy tylko pistoletów — zasiekli ułani szablami pięciu Niemców. Oddział strat nie poniósł — zaskoczeni Niemcy, którzy od szeregu dni robili takie nieszkodliwe pohukiwania po krzakach, potracili widać głowy.

Rotmistrz Sołtykiewicz podjeżdża znowu:

— Trudne warunki... Należy się naradzić...

— Co?! Nie w smak ci? To ruszaj sobie! — warknął wściekle Hubal.

Rzucił okiem na Virtuti na piersiach Sołtykiewicza, zreflektował się:

— Szkapę możesz zabrać...

Tak oto ubył pierwszy. Dzielny, rozważny, ale do partyzantki Hubalowej niezdatny.

Jeśli Hubal w ten właśnie dzień ostro i z takimi konsekwencjami uchylił się od rozmowy, to dlatego, że zamierzał zrobić rzecz, której by nie potrafił na rozsądek wytłumaczyć ani obronić. Pozostać postanowił, mianowicie, w miejscu, w którym odbyła się walka.

Informował ich, żywił i przyjmował gajowy — ojciec ośmiu dorodnych córek. Ale dzień ten i następny, który miał przyjść, spędzali w rozpadlinach skalnych wraz z końmi. Powtarzały się w Polsce czasy Łokietka, ukrywającego się w grotach Ojcowa.

Na pojutrze tej bitwy rano przybiegł stary gajowy z wieścią, że Niemcy biorą straż leśną za przewodników — że najwidoczniej pójdzie wielka obława.

Umykać?

Hubal zatroskanym okiem rzucił na konie. Jak umykać? Wszędzie obstawione. Naturalnie, przerwać się oddziałowi jazdy przez piechotę nie będzie tak trudno, ale ileż koni wyginie? A z nimi ludzi, bo przecież Niemcy nie będą żywić żołnierza oddziału, który w ich pojęciu nie jest wojskiem regularnym.

A zresztą... Te tu Niemiaszki hukające po krzakach dotąd wyławiały tylko przemykające się do domu grupki żołnierzy, mniejsza, że jeszcze uzbrojonych, ale już nie mających woli oporu. Mimo przedwczorajszego po-

kropienia jeszcze się nie zdążyli nałożyć do tego, że mają do czynienia z oddziałem regularnym, karnym i zdecydowanym na wszystko; jeszcze tutaj wiele uzyskać można przez zaskoczenie.

I Hubal wybiera starannie kilka miejsc, w każdym ustanawia gniazdo erkaemu z kilku ułanami. Plutonowy Alicki z trzema erkaemami stanowi grupę ruchomą. Dobrze umieszczony cekaem stoi w odwodzie — gdyby przyszło się cofać.

Miał rację stary gajowy — ta obława rozsierdzonych przedwczorajszą porażką Niemców była gęsto zmasowana, rzucono widać do niej wszystkie rozporządzalne w okolicy siły. Pamiętni, jak jazda Hubala przebiła łatwo ich rozsianą po lesie tyralierę, idą obecnie Niemcy gęstą masą — ściana to ziejąca ogniem, do której żaden koń nie dojdzie.

Już wyszła siwa ściana z zieleni, już wbrzusza się między erkaemowe stanowiska; starzy erkaemiarze nieznacznie wodzą gruzłowatymi palcami po maszynkach, podejrzliwie poglądają po młodziakach z karabinami, którym wezbrany z emocji dech skacze muszką po ruchomych celach — mgłą zachodzą oczy, szkodzi każda gałązka — którzy szybko repetują sobie nauki, jak mierzyć, jak naciskać język spustowy.

Żaden nie zarwał. Gdaknął pierwszy uprawniony erkaem, ten, który miał zaczynać, poszły serie pośpieszne i chciwe, wyprawiły się pociski z pojedynczych karabinów po cele upragnione już od całej wieczności.

Zwinęła się ściana szyta krzyżowym ogniem i pierzchła. Nikt ich nie gonił. Na pobojowisku zostało kilkadziesiąt trupów, a w sercach żołnierskich żal, że to tak błyskawicznie się odbyło, że tylu ich uszło.

Hubal zarządza apel. Stają w upojeniu. To przecie

pod nim Niemcom konie brali nazajutrz niemal po upadku Warszawy, to pod nim wybili do nogi oddział łączności, to on zdecydował się na przejście obsadzonej przez Niemców wsi, to on lasem szarżował na obławę niemiecką, to on, wbrew rozsądnym pogadywaniom i przewidywaniom, nie uszedł, nie radząc się nikogo, przyjął walkę, to dzięki niemu kilkadziesiąt trupa zaściela las, a oni na tym tu apelu są wszyscy, zdrowi, by choć jeden draśnięty!

Hubal każe starannie zebrać broń z pobojowiska. Oddział ma jej nadmiar, więc ta niemiecka broń, opatrzona, opatulona pracowicie, idzie do ziemi wedle wiadomych znaków. Oddział Hubala, gospodarz staranny, będzie odtąd przez długie miesiące gospodarował takimi sadzonkami od Suchedniowa po Spałę, na przyszły plon, na przyszłe dożynki.

BĘDZIEMY POMOSTEM MIĘDZY WRZEŚNIEM I WIOSNĄ

Hubal jest porwany jak na skrzydła tą wiarą ludzi, tym entuzjazmem, tym ich oddaniem.

Tak mu się wiedzie, a ma ich tylko do węgierskiej ziemi domykać? W uchodźców zamienić, po garnizonach długie miesiące błocić? Ewidencje i wykazy pisać?

Wzdrygnął się. Bogiem a prawdą nie miał w wojsku przedwojennym najlepszych kwalifikacji. Często kwatermistrzem bywając, miewał scysje a zatargi stałe, wyrobił sobie opinię, że nie nadaje się na czas pokojowy; przed samą wojną wyszedł do cywila na jakieś stanowisko w jakiejś fabryce rządowej.

To więc po to tu zasmakował niemieckiego mięsa, po to tylko poczuł, że nie święci garnki lepią, po to wzięła go na skrzydła miłość żołnierza, po to już do oddziału popłynęła pierwsza fala ciepła bijąca z Polski, oddania ludzkiego i wiernej rodaków pomocy na śmierć i życie, aby teraz byle zaleszczycki pułkownik nad nim się wygłupiał i uczył wojska?

A przecie wojna — jest, jest wielka sojuszników potęga czekająca wiosny, uplątani są Niemcy w nadciągający na zachodzie kataklizm, zbyt pewni tu na wschodzie, by bez opamiętania po krzakach kilku po-

wiatów ganiać, na śmiech się narażać, kilkudziesięciu konnych szukać. Byle ich raz, drugi dobrze ugryźć jako to dzisiaj uczynił, a poza tym cicho siedzieć, to i oni cicho siedzieć dadzą, odkładając uporządkowanie na koniec wojny. Bo jeśli wygrają, musiałby oddział automatycznie się zlikwidować. A jeśli nie wygrają — a Hubal jest tego pewny...

Ach, jeśli nie wygrają, wstanie Polska jak długa i szeroka. Wstanie Polska, po której ciągle sygnał iść będzie, że jest oddział regularny, który istnieje i walczy. Zbiegną się do oddziału krocie, tysiące, dziesiątki tysięcy, setki tysięcy. Przybędą z zagranicy wypoczęte pułkowniki i generały, dręczyciele w grach aplikacyjnych, molochy wiecznie niesyte wykazów.

A on powie:

— Macie tu, dziady sakramenckie, sto tysięcy uzbrojonego luda i bawcie się po swojemu. Ja tam nie do tego, jadę do Afryki polować.

I już ma niewyszukaną formułkę dla swoich żołnierzy:

— Nie sztuka iść do Francji. Powiedzą Niemcy, że w pięć tygodni z Polską skończyli. Będziemy tu w kraju pomostem między wrześniem i wiosną.

A im to wszystko jedno. Człowiek tylko wydaje się egoistycznym bydlęciem. Dać mu raz zachłysnąć się bohaterstwem — i staje się nałogowcem. Raz mu odebrać wolność, a potem ją ukazać — i już się nią upija. Wielu spotykałem, co przeżywszy okupację opowiadają o powstaniu, że te dni, kiedy jedli plujkę, życie ich wisiało na włosku i co dzień ubywało najbliższych — były dniami najszczęśliwszymi w ich życiu, dniami nigdy nie zaznanego upojenia.

Hubal więc postanawia możliwie nie dokuczać Niemcom, grać na przetrwanie, przygotowywać mobilizację wiosenną. Posyła Romana z czterema ułanami o dwadzieścia kilometrów w bok od linii marszu (bo sam przerzuca się w Końskie — w górach z końmi trudno), aby zabezpieczyć papiery i pozostałości rozbrojonego pułku.

Wpół drogi, jaką miał przebyć, natyka się Roman na znajomą gajówkę. Pisałem, że służba leśna otaczała oddział od lasów spalskich przez suchedniowskie aż po świętokrzyskie nieustanną opieką, a teraz, po zwycięskich starciach, wyolbrzymiona wieść biegła przed nimi. Gajowi zatrzymują, dziewczyna jak malowanie zaprasza.

— Major zabronił gdziekolwiek po drodze się zatrzymywać — opowiadał mi ze skruchą Roman — ale myślałem, że jeśli się ludzie posilą, to te pół godzinki mitręgi się opłaci.

Zostawił przed gajówką Kazika, aby trzymał pięć koni i miał baczenie, wszedł do gajówki, a tam już jajecznica na słoninie skwierczy i butelka wódki wyjeżdża na stół.

Przegryźli, jak Pan Bóg przykazał, idą zluzować do tej jajecznicy Kazika, a z lasu wysuwa się tyraliera niemiecka.

Ułani do koni, Niemcy otwierają taki ogień, że szkoda gadać — żywa dusza przez bramę na drogę nie wyjdzie. A tu i popręgi popuszczone. Zwinęli się przy nich wraz, wmiotło ich na konie i uskoczyli za obejście. A tam dookoła płot półtorametrowy, nie bielony po panaskładkowskiemu, ale zaostrzony.

O koniu, który czujesz i rozumiesz! O koniu, który w szarży stajesz się stepowym mustangiem, uszy kładziesz po sobie i rwiesz do przodu, zęby szczerzysz, ką-

sać byś gotów jak zwierz! O koniu, który w ucieczce brzuchem się kładziesz po ziemi, nie potkniesz się, przewioniesz nad rannym jak najczulsza matka, lekko splanujesz za każdym rowem, przesadzisz przeszkody, o jakich by nie marzył najselektywniejszy steeple chase!

Wszystkie pięć koni przesadziły ostrokół, pełni jajecznicy ułani pogrążyli się w las, spełnili zadanie, dołączyli do oddziału biwakującego w jakiejś wsi w drodze na Końskie.

Po raz to pierwszy oddział tak biwakuje — nie po gajówkach, nie w skałach, nie w lasach. Wieś obstawiona wartami — wpuszczają wszystkich, nie wyjdzie nikt. Wieś rządzona przez władze Polski Niepodległej, będąca w posiadaniu „Samodzielnego Oddziału Kawalerii Wojsk Rzeczypospolitej Polskiej". Bo po zrobienie takiej pieczątki pchnął Hubal umyślnego.

I pieczątka ta jeszcze nie gotowa, a już poszła wieść, już oddział działać poczyna jak magnes.

Siedzi Hubal w izbie za stołem przy obiedzie, starszyzna wsi mu świadczy honory. Serce rośnie, patrząc na nieskazitelny moderunek żołnierzy, na ich wojskową postawę. Pieczątka mówi o oddziale wydzielonym regularnych wojsk Rzeczypospolitej i tak ma do końca być: z raportami karnymi, meldowaniami się, apelami, postawą zasadniczą. Nie przymus nad tym, nie sąd, tylko Hubalowe: „Niech idzie do cholery!..."

Pocztowy melduje jakiegoś obcego podporucznika.

Do izby wszedł w kompletnym mundurze jak z igły, w pełnym moderunku żołnierskim, wysmukły blady chłopak:

— Podporucznik Marek Szymański melduje swoje przybycie.

— Daj gęby — mówi Hubal. Zna go sprzed wojny.

Postanowił, idąc na „neutralne" przetrwanie, nie przyjmować nowych ludzi do oddziału, ale jak tu można nie przyjąć Marka? To chłopak „wojskowy od kolebki". Po Korpusie Kadetów ukończył zawodową podchorążówkę saperów.

Nie zawiódł się Hubal. Podporucznik Marek Szymański, przybrawszy pseudonim Sęp, zapisał się jako jedna z najpiękniejszych kart w dziejach oddziału. Wykazał murowany charakter, podejmował najcięższe zadania. Po rozpołowieniu pod Szałasami oddziału Hubala dowodził z jego rozkazu w Górach Świętokrzyskich wydzieloną z oddziału piechotą, z resztą osieroconego oddziału przebił się do Hubala na drugi dzień po jego zgonie, następnie walczył w dywizji AK na Wołyniu, potem szedł jak wilk w tropy armii niemieckiej w głąb Rosji, w służbie naszego wywiadu. Zginął podobno w Powstaniu Warszawskim.

Nowo kreowany Sęp, uspokoiwszy się, że jego oferta nie została odrzucona, kręci się czegoś:

— Panie majorze, bo tam właściwie przed chałupą jeszcze jeden czeka.

Hubal nastawił swoją groźną zmarszczkę pionową i błysnął wesołym okiem:

— Kto?...

— Starszy ułan... Doskonały cekaemiarz.

Starszy ułan Gruszka istotnie zasługiwał na tę atestację. Kochał się w cekaemie. Wiecznie miał coś koło niego do roboty. W strzelaniu z niego dochodził do niesłychanej precyzji. Otrzymawszy fajnego kasztana, nauczył go kłaść się jako przedpiersie karabinu maszynowego i strzelając zza niego na trzysta metrów do bielonej chaty, umiał się w sześciu seriach ognia podpisać imieniem i nazwiskiem (podaję za Kotwiczem).

I ten wypłacił się Hubalowi za zaszczyt przyjęcia. Wypłacił się z czubem. Wzięty wkrótce potem do niewoli (już w połowie listopada), katowany w gestapo w Końskich, słowa nie pisnął, z wiadomościami o oddziale poszedł na rozstrzelanie.

— Ale to już ostatni — przysięgał się Hubal. — Nie przechowamy się większym oddziałem do wiosny.

A tymczasem na postoju w następnej wsi wdarła się do chałupy dziewucha wiejska, przystojna osiemnastolatka. Zmieszany pocztowy łapał ją za chustkę, nie mogąc dać rady z babskim ferworem.

— Panie majorze, nijak zatrzymać, śliska jak wąż. Mówi, że do pana majora z ważną wiadomością.

A już dziewucha — puc... puc... boćnęła majora dwa razy w rękę, chłopskim obyczajem obejmując go za kolana, i beczy.

— Czego ryczysz? — pyta niezadowolony major. Już do niego poczynają ściągać ze wszystkim. O rozsądzanie diabli wiedzą jakich spraw.

Dziewczyna zanosi się od płaczu. Zmiękł, objął:

— O co chodzi?...

— Boję się powiedzieć — podnosi dziewczyńskie oczy.

Ułany patrzą — za niańkę nagle ma być dowódca. Rozeźlił się:

— To idź do diabła!...

Nowy atak całowania po rękach. Z chlipów wychodzi, że dowiedziała się, że jest polskie wojsko, że biegła jak nieprzytomna ze wsi odległej o siedem kilometrów, że ważnego nie ma nic, ale... niech ją pan major przyjmie...

Buchnął śmiech... Zerknął major po śmiejących się gębach, widzi — przypadła im ta wariatka do gustu.

— Co z tobą będziemy robić?

— Dziewczyna jestem... Wiejska... Tutejsza... Wszędzie przejdę... Wszystko wywiem...

— Gotować będziesz dla oddziału — przecina niewczesne zapędy.

— Dobrze — mówi pokornie — i szyć... i wszystko...

— Co z tą małpą robić? — wzrusza ramionami Hubal. — Jesteśmy tu do jutra. Zostań. Jutro zobaczymy.

Nazajutrz wysłał ją do Krakowa z listem do matki. Załatwiła wszystko jak najlepiej, przywiozła od matki medalik.

I tak została w oddziale jedyna kobieta, Maria Cel, znana całemu oddziałowi jako Tereska, chłopska Joanna d'Arc oddziału.

Niemcy, zdało się, szybko chwycili intencje Hubala i coś wyglądało, że poszli jakby na milczącą ugodę. A może robili poważniejsze przygotowania? Hubal miał wiadomości, że po odniesionej porażce oceniają go na kilka tysięcy. Omijali oddział, nie zaciskali pętli, nie tropili. Hubal z kolegami urządzali polowanka, popijawy, wycieczki.

Pewnego razu wybrał się z Iljinem i Alickim na spacer, żeby szkapy rozprężyć, wiatru w piersi nałapać. Jak zwykle, jak każdy z Hubalczyków aż do końca, byli w pełnych mundurach z dystynkcjami.

Na zakręcie wypadło na nich dwu niemieckich żołnierzy na rowerach. Ujrzawszy polskich kawalerzystów, pospadali z wrażenia z rowerów.

Hubal zawołał — podoficer niemiecki wylazł z rowu i zameldował się przepisowo.

— Gdzie jedziecie?

— Do Radoszyc.
— Skąd jesteście?
— Z Lipy.
— Ilu tam was na posterunku w Lipie?
— Sześciu.
— A w Radoszycach?
— Dwudziestu sześciu.

Tańczy koń pod Hubalem. Hubal waży coś w sobie. Nie schował pistoletu, wyszarpniętego na widok Niemców. Ten to sam Walter, z którego strzelał wziętych do niewoli łącznościowców. Jak urzeczeni patrzą Niemcy na rękę, trzymającą pistolet.

Waży w sobie Hubal, co robić, a chwile wydają się Niemcom wiecznością. Rozważa: starsi ludzie... Bawarczycy... I przecie — miał nie szukać zwady...

Ale szkoda ich puścić bez kawału. Wesołe oczy rozjaśniają się na pomysł, który mu wpada do głowy.

— Ten — wskazuje na szeregowego pistoletem — niech wraca do Lipy, a ty — wskazuje na podoficera — jedź dalej do Radoszyc. I tu, i tam macie zapowiedzieć, że do wieczora na obu posterunkach nie ma być żywej duszy niemieckiej, bo przychodzę.

Uszczęśliwieni „gehorsamst" kwitują otrzymany rozkaz.

Efekt kawału przeszedł oczekiwania. Nie tylko wyewakuowały się Lipa i Radoszyce, ale i posterunki w trzydziestokilometrowym promieniu.

Widzi Hubal, że panowanie niemieckie nad głuchymi zakątkami nie jest zbyt mocne, coraz bardziej myśli o szukaniu zaplecza dla nie powiększanego oddziału, o budowaniu szeregu kontaktów. Ludność cywilna po-

winna wiedzieć, że ktoś czuwa, powinna się liczyć, powinna czuć na sobie żelazną rękę. Rozkazy „Oddziału wydzielonego wojsk Rzeczypospolitej" nie mogą być mniej szanowane niż rozkazy niemieckie. Do tej akcji w społeczeństwie trzeba mieć pomocników poza oddziałem.

Na jednym z postojów (oddział co kilka dni zmienia m. p.) zgłasza się oficer P., pochodzący z tych stron (zachowajmy jego nazwisko przy sobie) z ofertą współpracy. Hubal daje mu list do kolegi z tamtej jeszcze wojny z propozycją nawiązania sieci w jego rejonie.

P. zobowiązał się odnieść odpowiedź w ciągu dwu dni. Siedem dni minęło — do Hubala doszły wieści, że P. siedzi gdzieś na jakiejś plebanii i nie myśli o wywiązaniu się z zadania.

Hubal wzywa Iljina, Bema, Romana i Alickiego:

— Dwadzieścia pięć w gołą dupę — nakazuje Iljinowi, jako dowódcy — a ty — zwraca się do Romana, który słynie z ciężkiej ręki — w moim zastępstwie dasz mu trzy razy w gębę.

Pojechali, weszli do plebanii. Akurat u księżulka dobrodzieja przy paru już wypróżnionych butelczynach siedziało wesołe towarzystwo, w którym rej wodził P.

Weszli — w mundurach, przy pistoletach, wianki granatów podtrzymują koalicyjki. P., zmieszany, tłumaczy się, że jeszcze nie zdążył wypełnić polecenia.

Sprowadzili sołtysa i trzech siwych staruszków — najpoważniejszych we wsi. Jak kara i wyrok, to nie bezprawie i przemoc.

Iljin wykłada im całą sprawę i konkluduje:

— ...i za to, z rozkazu dowódcy, ma dostać dwadzieścia pięć w gołą dupę. A wy macie być świadkami.

Sołtys i staruszkowie poglądają po sobie, drapią się w głowy. Snadź są jednego zdania, bo sołtys zabiera głos i mówi poważnie:

— Juści, jeśli nie słuchał polskiego rządu, to mu się słuśnie należy...

— Przeca Polak... — kiwają głowami staruszkowie.

— Ma pan dostać dwadzieścia pięć w gołą dupę — ogłasza Iljin.

— Jestem oficerem!

— Romek, wykonać rozkaz!

— Trudno bić w inteligentną gębę — zwierzał mi się Romek. Zamknął oczy — pęc! — P. poleciał na podłogę. Romek ma niezawodne uderzenie.

P. podnosi się:

— Wykona pan rozkaz?

Odeszły go skrupuły oficerskie. Trzęsie się. Odpina sam spodnie. Ratuje pozory:

— Ulegam przemocy...

Wymierzają mu nakazane dwadzieścia pięć plag. Delikwent zapina spodnie, mówi płaczliwie:

— Nie wiedziałem, że w ten sposób uczy się miłości ojczyzny.

— W ten sposób uczy się wykonywania jej rozkazów — mówi Iljin. *

---

* Oto dalsze losy Iljina. Złamany reumatyzmem, musiał opuścić oddział. Pojechał leczyć się do Warszawy do siostry i załatwiał Hubalowi sprawy oddziału. Pewnego razu przysłany do niego Hubalczyk upił się i wdał się w burdę z gestapowcem.

„Szkopie, Hubalczyk jestem" — oświadczył, kiedy Niemiec zażądał dokumentów. Nie dano mu użyć broni. Znaleziono przy nim adres Iljina. Aresztowany wraz z drugim Hubalczykiem, podporucznikiem Gołko, przywieziony wraz z nim do Oświęci-

Następnego dnia przyjechał sołtys na m. p. Hubala — „przeprosić pana majora, że jeden z naszych tak postąpił".

---

mia. W krótkim czasie obie ich rodziny w tymże samym dniu otrzymały powiadomienie o ich straceniu.

OPAŁY W CISOWNIKU

A jednak Niemcy nie dają za wygraną. Nie ma co się łudzić. Gromadzą siły i znów do Radoszyc, z których niedawno tak haniebnie uciekli, zaciska się obława.

To jest 4 listopada 1939 roku, dopiero miesiąc i sześć dni od upadku Warszawy, miesiąc i sześć dni, w ciągu których tyle się działo.

Wysłana naprzód na rowerze ku podnóżu Gór Świętokrzyskich Tereska wyszukała cichą wieś Cisownik, leżącą na ustroniu, w lasach. Przybył do niej oddział po przemarszu nocnym na piątą rano.

Wieś jak to wieś — o tej porze już jest na nogach. Wylegli przed opłotki — rozpoznają, kto też to wjeżdża.

Nagle buchnęło:

— Wojsko polskie!

Kobiety płaczą, podnoszą w górę dzieci, wskazują im żołnierzy. Gospodarze kłaniają się we wrotach: „A dyć do mnie, jeśli łaska..."

Zajęli kilka chałup w rząd. Wystawili z obu końców wsi posterunki po dwu ułanów. Nim opatrzyli konie, nim podjedli sobie, już i dziewiąta godzina przyszła. Tedy legli nie rozbierając się, z pistoletami na sznurach na szyi. Śpią.

Styczeń 1940 r. Fryszerka. Od lewej: ppor. Sęp, ppor. Leszczyna, ppor. Bem, kpt. Pomian, Tereska (Maria Cel), por. Korab, strz. Kasprzak, mjr Hubal, Tadek Madej, rtm. Walbach, wachm. Alicki (ze sztucerem), kapral Jura, ułan Stulik, szer. Mściwoj, plut. Lewandowski, kpr. Lis.

Gajówka Zychy, gdzie kwaterował Hubal w październiku 1939 r. Gajowym był wtedy wielki przyjaciel oddziału — Jan Baran.

Styczeń 1940 r. Fryszerka. Na pierwszym planie od lewej ppor. Leszczyna, rtm. Walbach, wachm. Alicki, plut. Lewandowski. W głębi ppor. Sęp i pchor. Barbarycz.

Pałacyk w Chlewiskach, gdzie kwaterował sztab dywizji niemieckiej, operującej na Huciska.

Nagle z końca wsi trzasnął strzał pistoletowy. I zaraz strzały przeniosły się w głąb wsi.

Na klaskanie strzałów koło stodoły Dyngus, chory na zołzy, zaledwie otworzył zmęczone oczy i przeniósł ciężar olbrzymiego swego ciała z jednej nieprawdopodobnie owrzodzonej nogi na drugą.

Irena zerwała powód. Słychać było głos kaprala Wrony: „Do koni! Zdrada! Do k-o-o-o-ni!..."

Zagrały karabiny maszynowe. Pociski szyły słomiany dach. Irena parła piersią drewniany drąg, tarasujący półotwarte wrota. Z sąsiedniej chałupy wypadł kapral Olendzki na oklep na Bucyfale i podchorąży Leśniak na Tatarze. Rwali do lasu. Araby rżały na drugim końcu wsi.

Roman, Bem i Alicki spali w jednej chałupie. Bem i Alicki na alarm zatrzęśli Romana za ramiona i pyrgnęli z chałupy. Roman schwytał chlebak, wyskoczył tyłem na obejście, skoczył przez płot do chałupy majora, ale chałupa już była pusta. Wtedy wbiegł do stodoły, w której było kilka koni. Kule pruły już przez deski ścian, konie miotały się. Roman, ratując przede wszystkim Dzianeta, narzuca mu siodło, ale koń zrzuca je, staje dęba.

Tymczasem już granat eksplodował tuż pod stodołą. Roman poniechał koni, wyskakuje. Na ulicy z jednej strony rój Niemców, po jej przeciwnej stronie pruje z erkaemu Bem. Czeka na Alickiego, z którym przysięgli sobie, że jeden drugiego rannego dobije. Ale Alicki się nie zjawia. Mignął Sęp z długą fają w zębach, przeskakujący ulicę.

Roman rzuca granat i w czasie kiedy granat wybucha, przeskakuje ulicę do czekającego Bema. Przeskakują płot, w tej chwili Roman otrzymuje głuche

uderzenie. Czuje na plecach mokro, krzyże drętwieją. Za płotem grząski zorany ogród.

— Zygmuś, dostałem...

Sięga ręką — ręka mokra, ale nie czerwona. Wącha — pachnie spirytusem. To kula niemiecka przebiła manierkę ze spirytusem na dnie chlebaka, który zsunął się na tył. Płaszcz, który Roman miał przerzucony przez ramię, postrzelany jak sito.

O dwieście metrów widnieje las. Służbowy, który wpadł ich zbudzić, krzyknął, że miejsce zbiórki w tym lesie.

Istotnie, na maleńkiej polance już są zebrani.

— Co z końmi? — pyta Hubal.

Roman wyjaśnia.

— Idioto, nie należało siodłać, tylko pospuszczać było, same by przyszły.

W tej samej chwili już Niemcy biorą konie. Już część ich idzie ulicą. Człapią, caplają. Głosy ludzkie słychać nieznane jakieś, gardłowe i twarde. Obcy żołnierze w siwych mundurach prowadzą Groma. Rozpuścił biały ogon, chrapie. Idzie Hetmański, cętkowany jak pantera, a potulny jak dziecko. Za nimi inne. Obcy żołnierze przyszli też po Dyngusa. Wyciągnął na całą długość szyję i ostrożnie przestawia chore nogi.

Irena była w ogóle nerwowa. Pozwalała się osiodłać tylko kapralowi Wronie albo rotmistrzowi Kotwiczowi.

Skoczyła. Zwaliła obu Niemców o zrąb.

...płot... znowu płot... zamknięta brama... rów...

Jak parcours w Łazienkach i w Łodzi, i w Zakopanem.

Rzuciła się w bok — na drodze Niemiec płasko rozciągnięty twarzą do ziemi.

Wyciągnęła się w galopie wioskową ulicą, lśniąca

jak miedziana struna, ona, najściglejsza w szwadronie. Szara gromada żołnierzy zabiega drogę. Piersiami w nich i w skok! Rola pryska spod kopyt... las. I już kapral Wrona troskliwą dłonią gładzi jej zamszowy pysk.

Ale w ogóle uratowano tylko osiem koni. Alicki, który nade wszystko kochał swego ciemnogniadego angloaraba o czterech białych, pęcinach, wpadł do stajni (dlatego nie mógł go doczekać się Bem), zwolnił swego (na nim uratował się Hubal), zwolnił i te inne, zdążył wsadzić na konia jęczącego z bólu zreumatyzowanego Iljina. Otrzymał postrzał wierzchem dłoni przez skórę.

Nie zjawił się Sęp, podporucznik Gołko i Tereska. To źle — Teresce rzucił Hubal, kiedy powstał alarm, wszystkie papiery, dziennik pułkowy, mapy.

Nastrój dosyć minorowy. Aby go podnieść, zarządza Hubal w lesie na końcu wsi zasadzkę, aby odbić Niemcom zabrane konie. Ale zasadzka spełzła na niczym — Niemcy wycofali się inną stroną.

Pieszo więc przeważnie przedzierają się koło wsi Szałasy do gajówki Rosochy — uprzednio wyznaczonego miejsca zbiórki.

Na drugi dzień przyjeżdża do Rosoch na nieodłącznym rowerze — Tereska. Ze wszystkimi papierami. A jakże. Gdy Niemcy wpadli, zastali ją z wrzecionem na łóżku, pod które rzuciła papiery. Opowiada, że kilku Niemców zostało zabitych i rannych, że ona sama pomagała opatrzyć rannego kapitana niemieckiego, opowiada, jak brali konie, jak wyrwała się Irena. Mówi, że padli ofiarą zdrady. Pewna kobieta z tej wsi była w przeddzień w miasteczku, widziała mieszkańca tej wsi (robotnik z huty, który długie lata we wsi nie mieszkał i na czas wojny wrócił), jak zmawiał się z Niem-

cami. Wieś spuściła mu manto. Już się w niej nie pokaże.

W kilka godzin po Teresce pojawili się Sęp i Gołko. Nikt więc nie poległ, tylko oddział stracił wszystkie prawie konie.

Niemców Tereska obliczała na jakich trzystu. Czemu nie ścigali? Może ich speszyło ranienie kapitana. A może — woleli nie przypierać „wściekłego majora". Der tolle Major — powszechnie go nazywali Niemcy.

Z tych ośmiu koni — jeszcze dwa mieli stracić.

Hubal przesuwa się znów ku lasom spalskim. Po drodze każe się odłączyć plutonowemu Lisowi z przydanym kapralem Gruszką do wsi odległej o dwadzieścia kilometrów od linii marszu, aby zarejestrować, fachowo zabezpieczyć i ukryć broń, którą tam pozostawił rozbrajający się oddział.

Wykonali zlecenie i wracają pod wieczór, bo w okolicy wielu kolonistów niemieckich, i major zabronił nocować.

Rozkaz to rozkaz. Wieczór ciągnie, kości po całodziennej pracy bolą, diabli wiedzą, gdzie oddział teraz pełznie na piechotę. Kiszki marsza grają... We drzwiach samotnego obejścia przy drodze stanęła dziewczyna i śmieje się do żołnierzy. Przecie major zabronił spać we wsi, ale nie zabronił gdzieś spać w ogóle.

Obrócił Lis spiczastą twarz do Gruszki — kapral obrócony w siodle już się cały miał ku dziewczynie.

Zanocowali.

W nocy Lis — czuciem tyloletnim tropionego łazęgi — coś wyczuwa. Uchyla drzwi — cienie ludzkie migają koło płotu. Budzi Gruszkę, a w tejże chwili rozwalają

się drzwi, do chałupy wpada snop światła. „Hände hoch!" — krzyczy coś, co już całkowicie wypełniło ramę drzwiową. Lis, już zwinięty na podłodze, strzela z dołu w tę masę. Niemiec padł, Lis przeskoczył pierwszy, Gruszka przez niego i popędził do stajni. Lisa już spotkał ogień od płotu; prasnął się pod ścianę, zaraz od niego łukiem poleciał granat: w dymie wybuchu pomyka do stajni; tam Gruszka pora się z ulubionym kasztanem. Lis przez strych stajni wpadł w drugie obejście i uciekł ogrodami. Gruszka został przyłapany przy koniu; torturowany — nie wydał; tak zginął pierwszy mistrz cekaemu.

A Hubal, przesuwając się ku lasom spalskim, nocuje na plebanii w Ruskim Brodzie. Znęcił go ten domek plebanii za wsią samopas stojący, ku lasowi nabliżony.

Proboszcz, ksiądz Ptaszyński, pięćdziesięciolatek żylasty, z rewerencją niezwykłych gości obiega. Jeszcze tam gospodyni obrządkiem dawnym — a to naleweczka, a to kiełbaska podwędzona a miękka, na całe sąsiedztwo słynna, a to pierniczki miodowe — całkiem jakby to odpust i zjechali kolatorowie i dobrodzieje. Ale proboszcz, myśliwy znany, górnym węchem wie, co za zwierzyna, i w tym zrozumieniu nad miodowymi pierniczkami przeciągają: panagrottgerowe wizje, Kordecki, jak go widział w Sandomierzu na „Obronie Częstochowy"; ksiądz Brzózka — ostatni z ostatnich; ksiądz Skorupka — pacholę niewypierzone, które nazwą ulicy uczcili.

Tedy zwierzy ksiądz temu oto brodatemu majorowi, który w kożuszku przed nim siedzi i, tylko patrzeć, na płótno wskoczy i tak siedzieć będzie pokoleniom

— Majorze, drogi, kochany... Strzelać umiem, broń mam... Ale... mam skrzynkę granatów i nie umiem się z nimi obchodzić.

Waży major jajkowy granat w dłoni.

— Widzi ksiądz proboszcz — tak należy zawleczkę odciągać... Łyżki, Boże broń, nie popuszczać... A potem: sto-dwadzieścia-jeden, sto-dwadzieścia-dwa, sto-dwadzieścia-trzy — wtedy rzucać. Nie prędzej, bo mogą zdążyć odrzucić.

Z nabożeństwem dotyka ksiądz Ptaszyński granatu; gruby pancerz niby skórka ananasowa. Albo jak tabliczka czekolady — każda cegiełka innemu dziecku.

— Bo to obronny, do rzucania z przykrycia...

Podejrzliwie oglądając się na gospodynię, ksiądz proboszcz drepcze do skrzyni. Okaże się potem, wiosną, że zda egzamin z otrzymanej lekcji.

ULANI WERBUJĄ, STRZELCY MASZERUJĄ – ZACIĄGNĘ SIĘ...

Dwudziestojednoletni Henio Białas kręcił się po rodzinnym Piotrkowie i pytał o drogę do Francji. Piotrkowskie agencje Cooka nie znały jeszcze drogi na wprost, ale już słyszały o Hubalu. „Wyjdziesz z Piotrkowa i pójdziesz wewte strone." To znaczy na południo-wschód. Chłopak szedł sto kilometrów, mijając niemieckie tereny, aż doszedł do Radoszyc i do znajomków w Radoszycach. A w Radoszycach już było pełno tej Hubalowej sprawy. Gospodyni najstarszego syna straciła we wrześniu, najmłodszy Jurek już u Hubala tkwił, a średni Leszek, że to kaprawy na jedno oko, że to w gospodarstwie choć ktoś jeden potrzebny na Boga, był przez energiczną niewiastę desygnowany jako odwód. Że to na wiosnę, jak naprawdę będzie potrzeba — pójdzie.

Tam tedy, w Radoszycach, zbiegały się granice legendy i prawdy tajemniczej, surowej, zasnutej, która chodziła tuż. Niewiele z niej na razie mógł uszczknąć Białas. I na wszystko, o co pytał, jedna odpowiedź: „Tereska powie".

Aż po kilku dniach, istotnie, zjawiła się na rowerze zapowiadana Tereska. Chichotliwa dziopka, rozczochrana, roześmiana, smagła, szczupła.

— Jak się masz! — wita się z partesu.

Poszeptały z gospodynią.

— Cholery można dostać — mówi (to było powiedzonko powszechne w oddziale i Tereska starannie je celebrowała) — nie wiem, co będzie, ale wezmę ciebie.

— Weź rower, jedźcie do Kielc — szepcze Leszek.

Przepedałowali sześćdziesiąt kilometrów. Już podskakują po kocich łbach.

Domki Kielc starsze są i świadomsze niż ludzie. Zasnute w doskonałą nudę, w szarość, w „co mi tam..." Kiedy się do nich schodziło za carskich czasów z zielonych rozłogów Gór Świętokrzyskich, z puszcz jodłowych, z wietrznej Łysicy, spod lazurowiejącej Słupi, z drożyn pachnących próchnicą — te same domki w siąpie deszczu pochylały się nad kocimi łbami, przed tymi samymi domkami stał „gorodowoj", a w nich — buzowało się posiedzenie komitetu redakcyjnego wielkiej księgi maturzystów.

Kiedy wojewoda kielecki budował, miastu nad stan, sobiepański pałac sportowy, kapiący od marmurów — sypiące zmurszałą dachówką, stały sobie, a w nich pyrkało jak w garnczku, który już się zagotował, tęgo nakipiałe życie.

Białas czeka w bramie. Domek mieści przytulisko dla starych kobiet. Tereska wsiąkła w zakamarki. Śmierdzi kotami i amoniakiem, i nudą taką rozmazaną, że gdzieżby co z tego... Że wszystko to lipa.

Nagle bodnął go wilgotny, gorący szept Tereski:

— Chodź!...

Kluczą zakamarkami. Te kompleksy domków po naszych miasteczkach zrastają się ze sobą przejściami, galeryjkami, przebiciami, łączonymi na doraźną potrzebę, że miasto przestaje być kompleksem oddzielnych „posesji", a staje się mrowiskiem.

W pewnym miejscu Tereska każe czekać. Różowy tulipan żarówki oświeca Czarnieckiego na łożu śmierci, jak żegna się z ulubionym dereszem. Niewiadomy zegar tyka gdzieś w głębi. Z tym tykaniem rozmiędła się dusza chłopaka jak paździerzony len — już byś nie pozbierał włókien; zda mu się, że całe jestestwo wionie ku sufitowi w cieniu jakimiś pasemkami mdławymi, chybotliwymi, które wchłania mrok, niebyt, nierealność, bezczas. I nagle nogi, bolące po sześćdziesięciokilometrowym pedałowaniu, przypominają, że tu oto siedzi nie symbol dodany patetycznym dziejom, jak dźwięk nikły heroicznej sonacie, tylko on, żywy chłopak, Białas z Piotrkowa, złożony ze ścięgien, tłuszczu, krwi, kości, białka, węglowodanów, fosforu, któremu zadarł się boleśnie knykieć u prawej nogi i który chce jeść.

W to czekanie między Białasową wiecznością i Białasowym jędzeniem cielesnym po raz drugi wpada wezwanie:

— Chodź!...

To znów wilgotny szept Tereski.

Staje przed wysokim flegmatycznym panem. Korab — on to był bowiem, nie wie, czy „kto inny" przyjmie.

— Broni, munduru nie ma? To źle. Weź go, mała, na kolację — daje pieniądze — wróćcie za dwie godziny.

A po dwóch godzinach wchodzi do poczekalni cywilny* pan z brodą, i Białas od razu rozumie, że to major.

I słyszy po raz trzeci w tym dniu:

— Chodź!...

---

* Major — jak dalej o tym — właśnie jechał do Warszawy.

Major zamknął drzwi.

— Po coś tu w ogóle przyszedł, smarkaczu?

— Walczyć o ojczyznę, panie majorze — odbębnia przygotowanym zawczasu, wyuczonym drillem.

— Co ty myślisz, szczeniaku, że będziesz miał wygodę jak u mamy, że ci kawcię z bułeczką do łóżeczka będą nosić? Najlepiej wracaj do domu.

— Melduję, panie majorze, że nie po to przyszedłem, żeby wracać...

— Milczeć!...

Chwila ciszy.

— Broń masz, mundur masz?

— N-nie — tłucze się duch w chłopcu.

— Właśnie!... Cóż ty myślisz, że mam magazyn „mob"?! I że ci wszystko podetkną — od butów do gaci?!

— Panie majorze...

— Milczeć! Ja mówię: idziesz na pewną śmierć. Za zdradę u mnie tym się karze — pokazuje rewolwer. — Do niewoli też nie masz prawa iść. Idź, namyśl się.

— Nie mam co się namyślać.

Z wesołych oczu Hubala poszły dwa strumienie światła.

— Kiedy chcesz jechać? — zapytał innym głosem. — Dziś?

— Tylko rower muszę zwrócić.

— Jutro o tej porze zameldujesz się.

Chwycił chłopaka za włosy, podał rękę. Pokazał zegarek:

— Dziewiętnasta.

— Tak jest, panie majorze.

Wychodzi upojony. To nic, że jest ciemno i pada deszcz, to nic, że w tym samym dniu z powrotem musi

pyrgnąć sześćdziesiąt kilometrów dla oddania roweru, to nic, że zaraz z powrotem bez snu będzie musiał wracać, by piechotą znowu odrobić te sześćdziesiąt kilometrów, aby się stawić na tę sztabową, na tę wojskową, na tę operacyjną (a całkiem przypadkowo przez majora podaną) dziewiętnastą godzinę pierwszego rozkazu. On pokaże majorowi kawcię... Pokaże majorowi bułeczki...

W Radoszycach gospodyni przyjęła bohaterskie decyzje załamywaniem rąk i pośpiesznym suszeniem przyodziewku na gorącym piecu.

— To już cię podwiozę nieco na rowerze — zaofiarował się Leszek.

Po pięciu kilometrach, na które była umowa, powiada:

— Jeszcze aby trocha...

Chłopcy mówią o życiu w oddziale Leszkowego brata, o Hubalczykach. Co jakiś czas Leszek prolonguje. Aż wreszcie oświadcza, że dowiezie rekruta Hubalowego do Kielc.

Kiedy stanęli na kocich łbach przed obojętnymi domkami, w których mrowisku buzowały się sprawy i sprzed, i po niepodległości, Leszek rozkraczył spracowane nogi, zdjął maciejówkę, dokumentnie wytarł pot, przetarł kaprawe oko, z którego mu cięgiem łzy ciekły, i powiada:

— Bo ja też do oddziału... Żal matki, bo jej samej trudno. Ale miarkowałem na wszystkie boki i już inaczej nie będzie.

Teraz Białas proteguje do Tereski, Tereska do Korabia, Korab do Hubala. Przeważyło, że Leszek ma brata w oddziale. Niech tam!

Chłopcy jadą pociągiem do Opoczna. Dziwnie się

czuć znowu między „cywilami". W pociągu pełno jest młodych ludzi, którzy zajęci są jakimiś handlami. Z Opoczna należy udać się do leśniczego w odległej o czternaście kilometrów Dąbrowie. Podwozi ich kawałek drogi ziemianka. Kawałek drogi podpychają się wózkiem pachciarskim. Młodzi ludzie, ziemianka, pachciarz — to drobinki jakiegoś świata falującego na zewnątrz. Gdzieś tam koło leśniczówki Dąbrowa — stos wysokiego napięcia, który ponownie je stopi.

Ale stos wysokiego napięcia w postaci zażywnej pani leśniczyny zdradza maksimum nieupodobania na widok dwóch typków w maciejówkach:

— Dzisiaj niedziela... pan leśniczy zajęty.

Międlą się pod gankiem, aż póki leśniczy nie wypłynął we własnej osobie.

Tedy rekruty wyżywają się w postawie na baczność:

— Z rozkazu pana majora Hubala ma pan leśniczy podać nam m. p. pana majora Pomiana.

— Proszę — wprowadza leśniczy do domu.

W domu — dwaj w mundurach. Potem okazało się, że Bem i Roman.

— A my jedziemy na urlop — mówi Bem.

Właśnie wówczas Hubal po przygodzie w Cisowniku zadecydował, że należy swój oddział poddać komendzie ogólnej. Kotwicz wówczas ruszył z Kielc do Anglii, by z powrotem skoczyć w 1943 roku do Polski, stanąć na czele Dywizji Wołyńskiej i zginąć w walce na Wileńszczyźnie. Hubal zaś wyprawił się do Warszawy na poszukiwanie kontaktów, rozpraszając na ten czas oddział po krótkich urlopach.

Białas, co dopiero przybyły ze świata młodych ludzi, ziemianki i pachciarza, rzucił na umundurowanych pytające spojrzenie:

— Nie boją się panowie?

— O! — wyciąga Bem dwa pistolety.

Roman uchyla kołdry na małżeńskim łożu leśniczostwa; pod kołdrą, jak jajka, które wysiaduje kwoka, leżą wianuszkiem granaty.

Rekruci otrzymują wskazówki, jak iść na osławione m. p. Po drodze mają udawać handlarzy skupujących świnie.

— Cholery można dostać — cieszą się Bem i Roman — oddział będzie na sto dwa.

Obawiali się, że te urlopy to początek likwidacji, a tu nowych werbują...

Targując zawzięcie po wsiach świniaki, ażeby stworzyć za sobą alibi, bocznymi drożynami według szkicu na bibułce pchają się a pchają do tej jakiejś chałupy, w której jest Polska Niepodległa i rządzi polskie prawo wojskowe. Wieczór zapadł, droga się zagubiła w ugorach, idą już tylko na głos psów. Doszli do dwóch chałupin z dwu stron drogi, która pojawiła się znowu. Pyrgnęły do niej spłoszone dzieciaki, wyszedł przed drzwi gospodarz.

— Ceguj?

— Gospodarzu, idźcie na środek chałupy, krzyknijcie „Pomian!".

— Ceguj mom ksyceć... Nikoguj ni mo...

I znowu międlenie pod tym kolejnym przedsionkiem niepodległości, aż nie buchnął blask przez wypchnięte w ciemności drzwi i w tym blasku nie stanęła sylweta — w mundurze...

— Panie kapitanie... — prężą się.

— Daj spokój... Wchodźcie...

— Tak jest, panie kapitanie! — nie mogą sobie darować jeszcze jednego ryknięcia.

W izbie ukazują się Pomian i Sęp. Ucałowali przybyłych.

— Brat Jurka? — zapoznają się z Leszkiem. Jurek właśnie na patrolu. — No, zjedzcie.

Na talerze w ptaszki pada naręcze świetnej szynki. I kiedy ładują pełnymi gębami, Pomian i Sęp wygmyrują karabiny, ładownice, amunicję...

— Umiecie obchodzić się z bronią?

— Tak jest, panie kapitanie — porywają się na baczność, z ustami pełnymi szynki.

— Nie potrzebujecie się prężyć.

Wchodzi Jurek i Lis z patrolu. Oni dwaj i ci dwaj oficerowie — oto i cała kadra. Teraz będzie ich sześciu. Jurek, który nosi pseudo Sokół, każe im wynaleźć pseudonimy. Leszek będzie Zagłobą, bo i Zagłoba miał bielmo na oku. Białas przybiera pseudonim Mściwój.

Pomian, Sęp, Lis, Sokół, Zagłoba i Mściwój, wypęczniali szynką, śpią pokotem na słomie. Okolica spatrolowana, wielkie to odludzie, ich tak mało — nie ma co wart stawiać.

Kiedy rano się budzą, widzą przy stole Pomiana, jak z suszonych liści chłopskiego „tabaku" kroi tytoń „dla całego oddziału". Potem wynoszą się od chłopa i tak kocołują po wsiach — co noc w innej — nim nie przyjdzie czas udać się na nakazaną zbiórkę w lasach spalskich, na punkt, gdzie mają pościągać urlopnicy i gdzie ma przyjechać z Warszawy ich major.

Do Bielawy, gdzie była zbiórka, przeskoczyli nocą szosę, lśniącą światłami nieprzerwanie idących niemieckich samochodów.

WILIA I PO WILII

W Bielawie już wrzało. Już co chwila przybywał ktoś nowy witany wybuchami radości. Nie nawalił ani jeden z urlopników.

I zaraz — warty, służbowi — dosyć dziadowania, znowu rozpoczynamy wojsko. I zaraz sygnalizują — major jedzie!...

Wysypali się przed dom, stanęli w ordynku, a tu major przyjeżdża saniami z dwoma niewiastami, a sanie garbią się z tyłu ogromnym tobołem bagażu.

— Czołem, chłopcy!

— Czołem, panie majorze!

Wrzaśli, aż śnieg się zsunął z najbliższych łap świerkowych.

Nim Hubal co rzekł — toboły powiedziały, że nad łazęgami rozpoczyna się opieka. Toboły wyłoniły trzydzieści litrów spirytusu, a papierosów, a konserw, a ciepłych skarpetek, a swetrów uczciwie, z dolewką naszydełkowanych.

Wielka sala w pawilonie myśliwskim pana prezydenta, dekorowana flagami narodowymi i alianckimi, portretami Piłsudskiego, prezydenta, Śmigłego, świeciła bielą stołów ustawionych w podkowę. Pod obrusy napchano tyle siana, że kieliszki stały jak pijane.

Dopieroż przed piotrkowskim chłopakiem na tym nędznym skrawku niepodległości otworzyła się wizja splendoru: panie jakieś w wieczorowych sukniach, panowie jacyś — okoliczne ziemiaństwo — w czarnych tużurkach, ksiądz w sutannie, chłopy reprezentacyjne, gajowi, garstka szkolnej młodzieży, podfruwajek nieco dla ozdoby — no, cała Polska. A wśród tego oni, wojaki, w wyprasowanych na kant spodniach, oni, którzy są zarazem gospodarzami i fetowanymi. Wypinają piersi; gra ta, czasem śmieszna, często wzruszająca; kultura szlachecka, która przesiąknęła wszystkie stany — prawią komplementy, szastają się, patrzą z nabożeństwem na majora — w piekło by skoczyli za nim, w piekło by skoczyli za każdą z tych różowych buź, w piekło by skoczyli za honor, za mundur, za niepodległość, za młodość własną...

Wziął major opłatek w ręce i dusze skruszały. Szedł kołem, według szarż, jak gospodarz, jak ojciec, i przełamując symbol życia, pożywał z nich, a oni pożywali z niego. Po czym stanął u końca stołu, aby mówić, i cisza zrobiła się, słychać było za oknem zsuwający się ze świerków śnieg.

I wtedy — rzekłbyś Hostię podnosząc wysoko — ponad zwarty rząd głów podniósł w górę i trzymał słowo — „Francja". I że czekają. I że przyjdzie wiosna, a z wiosną akcja. I że ma rozkazy nie zaczepiać Niemców, trwać defensywnie, gromadzić broń, szkolić kadrę.

Ma rozkazy!...

Więc zaraz, jakby na potwierdzenie tej radosnej wieści, dobył major papieru i czyta:

„Za dzielność i zasługi położone dla oddziału..."

I zaraz potem — nominacje z Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej:

Kapral podchorąży Bem — podporucznikiem.
Plutonowy Roman — wachmistrzem.
Plutonowy Alicki — wachmistrzem.

Więc zaraz, na wywdzięk tej Niepodległej Ojczyźnie, która przecież jest, która daje im dary, nominacje i rozkazy — „Rota". A potem już, zbywszy marsa — hołd wspomnieniu mamuś, które gdzieś tam schną i nic nie wiedzą — kolędy. A potem — już sobie i swojej młodości — żurawiejki.

U majora klawa wiara
Piją wódzię, ćmią cygara

I wreszcie — po naszeptaniu się w kącie — po raz pierwszy wówczas „Piosenka Hubalczyków", która odtąd im ma towarzyszyć, z refrenem:

Więc szumcie nam jodły piosenkę,
Polacy, podajcież nam rękę;
Wśród lasów, wertepów
Na ostrzach bagnetów
Wolności niesiemy jutrzenkę.

Tak oni oto śpiewali pełną piersią, będąc odległi o osiem kilometrów od pałacyku w Spale, gdzie stał kwaterą sztab armii generała Blaskowitza, o cztery kilometry od szosy Nowe Miasto-Rzeczyca, którą sunęły sznury samochodów niemieckich.

Nie dziwili się temu żadni stateczni Anardraci, nie dziwił się żaden aliancki oficer łącznikowy, bo ich nie było.

Panie odjechały, odjechali ziemianie, zaczęła się popijucha — jak to w wojsku.

— Nie wydaj — mówi major do chłopa, który go przywiózł. Chłop ukląkł, całuje majora po rękach, łzy mu płyną po twarzy jak groch.

Sęp się uparł, melduje się majorowi:

— Panie majorze, natychmiast wyruszam... zdobędę panu majorowi Opoczno. — Więc dla pewności powyjmowano Sępowi naboje z pistoletu.

Alicki, pragnąc uczcić wachmistrzostwo, dobrawszy Rysia i jeszcze jednego — w mundurach, z pistoletami udali się na pasterkę do Studziannej, w której rezydowała placówka niemiecka. Weszli pomiędzy modlących się, przepchnęli się do ołtarza. Wysłuchali całej pasterki i wrócili.

Późno już było, gdy ktoś z oparów dymu i alkoholu wywołał majora na zewnątrz. I inni wysunęli się za nim. Przed domem słał się niepokalany śnieg i w mroźnym powietrzu stały czarne świerki. Stadko ośmiu jeleni wysunęło się przed nie na jasną przestrzeń przed dom i stało, chybko i pierzchliwie nasłuchując.

— Jak my... te polskie jelenie.

Gwiazdy zamrugały nad nimi i nad huczącą samochodami szosą.

Gdy obudzili się na rano pierwszego dnia Świąt, czekał ich pieczony jeleń i zatrzęsienie papierosów, i wódeczność. Dobre tam były dni w tej Bielawie, całe dziesięć dni w jednym miejscu. Strzelali jelenie, dziki, jadła było w bród.

Po tym nabożnym pasterkowaniu Alickiego w Studziannej, nachylał się do oddziału z wizytą młody zakonnik Filipin z mieszczącego się w Studziannej klasztoru, ksiądz Mucha.

— W bridża grasz, katabasie? — zainteresował się rzeczowo major.

„Katabas" sprostał pierwszemu warunkowi: grał.

Mrugnął major Romanowi — nalał Roman majorowi z „białej głowy" (wyborowa), a księdzu — szklankę spirytusu.

Księżyna — że to zamiary swoje na oddział miał — wychylił duszkiem. Zbielał, zatrząsł się, dech mu zajęło.

— Co, dobra, katabasie?

Dopieroż głos wrócił:

— Dobra — mówi.

— Jak dobra, to mu dajcie drugą.

— Jak wódz, to i ja...

Po tej drugiej niby zaczął się bridż — Boże odpuść. Ksiądz Mucha wstał i wygłosił przemowę: że widzi tu dużo bezbożników, że chce ich bronić od piekła.

Tak oto nieoczekiwanie wylała się zamierzona przy przyjeździe suplika — aby go przyjęto na kapelana oddziału.

— No, żebyś się sam, katabasie, z nami do piekła nie dostał.

I tak stanęło. Że ksiądz Mucha przyjedzie. Na kapelana.

Przykład Alickiego rozpalił wyobraźnię. Pokazać wszystkim na przekór, że jest wojsko polskie, wojsko regularne.

Na Nowy Rok — większość zgłosiła się... na nabożeństwo do Studziannej.

Szedł oddział kilkudziesięciu ludzi trójkami, po kawaleryjsku. Każden jeden guzik dopucowany, jak w przedwojennych czasach, pasy — jedna rozkosz kapralskich oczu.

Przed kościołem dwu na straży stanęło z erkaemami, z granatami. Reszta tłumnie przez kościół ku ołtarzowi

parła przez rozchylający się tłum i widziało im się, że oto są laudańską chorągwią, powracającą z wojny.

Niemiec wtedy, na Nowy Rok Pański 1940, mocno już dzierżył ludzi w garści. To ta ani zipnąć nie śmieli, ani głowy pokrzywić. Tylko ci, co najbliżej, łokcie wystawiali — aby choć otrzeć się o zjawiony mundur. Niewiasty klęczące od posadzki wyciągały ręce — aby jeno raz pogłaskać i już potem wrócić z kościoła w ten podniewolny Nowy Rok.

Msza była o dziesiątej. Wystali, jak Pan Bóg przykazał, całą mszę, klękali łanem mundurów na Ofiarowanie i Podniesienie. Drżący ksiądz odwracał się od ołtarza, ręce rozwodził na tę wojacką ścianę i intonował „Dominus vobiscum".

A potem z brzękiem ostróg wyszli z kościoła, ustawili się, sprawili i okrzyknęli, i odmaszerowali do sań.

Co było powodem tej dziwnej tolerancji niemieckiej, trudno wiedzieć. Może trwoga ich szczupłej obsady w Studziannej, może ogólna polityka, nakazująca czekać, aż oddział wzbierze patriotyczną młodzieżą, aż na wsiach przechowujących narosną konotatki, uprawniające do bezlitosnej rozprawy?

Obecny generał Rudnicki, wówczas komendant Okręgu Krakowskiego z ramienia ZWZ, opowiadał mi, że w początkach stycznia odwiedził w Warszawie swoich znajomych Mańkowskich z Winogóry (ongiś majątek generała Dąbrowskiego) w Poznańskiem. Kiedy wojna wybuchła, kwaterował u nich sztab niemieckiej dywizji. Szef sztabu tej dywizji, major Rozeneck, uprzedził, że tu przyjdzie gestapo, i poradził „Frau Gräfin", aby usunęła się, póki czas, a cenne rzeczy po-

wierzyła dywizji, która jest translokowana do Radomia. Stamtąd ofiarował się rzeczy odwieźć do Warszawy. Istotnie, słowa dopełnił i przyjechał akurat w czasie wizyty generała Rudnickiego.

— Wie pan — powiadał, nie wiedząc, kogo ma przed sobą — włóczy się tam po Radomiu taki major, który prowadzi partyzantkę. Wkłada kożuch na mundur, zapuścił brodę i myśli, że jest całkowicie zakamuflowany. Wszyscy o nim dobrze wiemy, ale nie ruszamy go. Es ist so romantisch!...

Generał Rudnicki, otrzymując skargi od własnych komórek organizacyjnych, że po terenie hula Hubal na własną rękę, pojechał do Chrobrza Wielopolskich pod Pińczowem, zaaranżował przez Tereskę spotkanie z Hubalem, ale długa i ostra rozmowa nie dała rezultatu. Był to czas, kiedy Torwid (generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski), pierwszy komendant ZWZ, ustąpił z zajmowanego stanowiska, i Hubal wciąż się powoływał na rzekomo osiągnięte porozumienie. Generał Karaszewicz-Tokarzewski jednak, zapytany przeze mnie, oświadczył, że i za jego czasów uskarżał się ustawicznie komendant w Kielcach na samowolę Hubala.

Ów tymczasem coraz śmielej sobie poczynał. Na komendanta policji w Studziannej zanosili chłopi skargi: że bije, że wysługuje się Niemcom. Roman otrzymał rozkaz zbadania sprawy z nieograniczonymi pełnomocnictwami — aż do strzelenia w łeb.

Wziął Alickiego i Lisa — jedynych do takich wypraw — i kopną drogą kropnęli się do Studziannej.

Lis został przy saniach, Alicki stanął, ubezpieczając przy drzwiach, na posterunku. Roman wszedł — sam.

Stanął w oszronionym kożuchu w izbie pełnej policjantów.

— Gdzie komendant?

Zrozumieli, co to za interesant. Bez oporu wskazali drzwi.

— W gabinecie.

Roman wszedł, nie troszcząc się o policję. Wiedział, że Alicki ich nie wypuści.

Za biurkiem siedział komendant policji w Studziannej, krępy brunet.

Roman rozchylił burkę, błysnął pas z granatami. Wychylił się za drzwi:

— Pan komendant prosi.

Weszli. Zagrodził im drogę od progu, wyszarpnął Wisa. Fama o nieulękłych Hubalczykach, którzy przed kilku dniami defilowali na Nowy Rok w tej tu Studziannej, obezwładniła policjantów. Nie wyłączając komendanta, podnieśli ręce.

— Skargi są na pana. Ma się pan wytłumaczyć. Wszyscy — spuścić ręce. Jestem niezły strzelec. Więc — bez kawałów.

— Jestem legionista, peowiak — mówił komendant — mam Virtuti i trzy waleczne. Chłopów biję za rozkradanie zwierzyńca, bo chcę ustrzec zwierzostan, a nie chcę donosić Niemcom.

Dogadali się — tymczasem. Spotkają się przy końcowych i decydujących chwilach oddziału.

Ile by tak czasu rządził się Hubal w Bielawie tuż pobok Blaskowitza, nie wiadomo — gdyby nie zadarł z samym Blaskowitzem personalnie. Pewnego dnia, kiedy

polował, rozległy się niedaleko w puszczy strzały; przybiegł od tamtej strony zemocjonowany gajowy:

— Uciekajcie!... To sam Blaskowitz poluje.

Sam Blaskowitz! Czyż można marzyć o lepszym zakładniku? Czyż można, wobec takiej gratki, trzymać się taktyki nieofensywnej?

— Saniami w nich!

Nie kute płozy niziutkich saneczek szybko przeniosły po puchach leśnych ostępów. Nie wymiarkowali, że to tak blisko, że wcześniej należało się śpieszyć; buchnęły w stronę sań strzały poczynających się niemieckich stanowisk. Wyskoczyli, poparli tyralierą krzakami, ale Blaskowitz zwiał.

Odtąd nie polował, obciągnął Spałę drutami i siedział w niej jak borsuk. Ale Hubal tegoż dnia zamiótł ślad po sobie, przenosząc się do odległego o cztery kilometry Stefanowa.

Tam, w Stefanowie, dołączył wreszcie ksiądz Mucha. Pojechał go wykraść klasztorowi Roman, zamówiwszy się, że to niby przyjeżdża po obiecaną przez Filipinów maszynę do pisania.

Szaro jeszcze było, kiedy, zziębnięty nieco, stanął przed furtą klasztorną. Braciszek zawołał młodego, co tylko z kleryków, księdza Sobczaka. Młody księżyna oczami pożera bohatera, tańczy koło niego jak koło lalki porcelanowej. W następstwie spotkać się mają w Oświęcimiu...

Ksiądz Sobczak wiedzie z namaszczeniem dostojnego gościa do przeora. Ksiądz superior wita wojaka godnie: flachą śliwowicy i dobrym metrem słynnej na całą okolicę kiełbasy zakonnej. Ostatecznie pamięta, że pa-

tron jego zgromadzenia, święty Filip z Neri, był najweselszym świętym Kościoła katolickiego, że trzymały go się różne krotochwile, że pewnego razu np. zgolił pół głowy i tak tańczył na ulicy. Superior niewątpliwie wie o krotochwili, którą tu szykuje ksiądz Mucha, wykradając się „bez jego wiedzy" z całym potrzebnym sprzętem liturgicznym, wie, że poczciwinie trzeba dać czas się spakować, że nie może o tym powiedzieć Romanowi wprost, więc coraz to nakłada mu na talerz nowy glon kiełbasy, coraz to dolewa śliwowicy.

— A czy wie pan wachmistrz, że tu w klasztorze nocuje nowy aspirant do waszej reguły?

W celi, do której puka Roman, z łóżka unosi się ku niemu wychudła twarz wachmistrza podchorążego Józefa Świdy. Brał udział w końcu września w zwycięskiej szarży pod Krasnobrodem, gdzie się przebiła grupa generała Andersa; ranny ciężko, dowlókł się do kuzyna w Miechowskiem, gdzie leżał dwa miesiące, a teraz przyjechał — z bronią, z mundurem — szukać oddziału Hubala.

Pochodził z Hlewina w Borysowskiem, ze starego gniazda Świdów. Pamiętam dziadka jeszcze jego, gorącego patriotę i zawziętego kalwina, dwór stary w wielkim parku podanym ku Berezynie.

Świda przyjechał do Stefanowa z księdzem Muchą, zameldował się Hubalowi, kiedy ten właśnie kończył raport karny ze zbyt porywczym Bemem, który uparł się dawać ułanom przedwojenny „cuk" wedle najklasyczniejszych wzorów.

Przywieziony mundur i broń, rana, to, że jest krewnym wysłanego do Francji Kotwicza, za którym się Hubalowi cniło — otworzyły Świdzie drzwi do oddzia-

łu. Poszedł do plutonu Bema, aby tego narwańca trochę powściągać.

W kilka dni potem przybył rotmistrz Walicki z ręką na temblaku po szarży pod Kutnem.

Tylu tych kawalerzystów przybywa, a oddział od czasów Cisownika bez koni. Dotąd jeździło się tylko po broń. Zostało tyle tylko karabinów, ilu mężczyzn w chałupie; na resztę wystawiało się kwit z okrągłą pieczątką z orłem: „Oddział Wydzielony Kawalerii w Górach Świętokrzyskich". Chłopi o te kwity prosili. W ten oto sposób oddział rozporządzał całymi kopcami broni — na tę wiosenną sprawę.

Teraz — czas było pomyśleć o koniach. Wiele doskonałych wierzchowców zdeponowała u chłopów tu i tam rozbrajająca się kawaleria. Nad Pilicą u bogatego gospodarza sygnalizowano piękną siwą klacz. Roman, powiadomiony, że koń jest przechowywany w stodole, pojechał z Alickim. Gospodarz w otoczeniu siedmiu synów-drągali patrzył wilkiem, ale dyndający u pasa Wis wzbudzał respekt. W stajni klacz się nie okazała, w stodole pełnej sprzętu — też. Przypierany do muru gospodarz ukląkł w chałupie i przysiągł na krzyż, że nijakiego konia nie ma.

Dopieroż za obejściem dopadła z jazgotem wdowa sąsiadka. Że to klacz w sąsieku sprytnie schowana, że urządzenie specjalne.

Wrócili.

— Więc nie macie konia, gospodarzu?

Wziął się pod boki:

— A bo co?

— A bo to!...

Nie na darmo żurawiejka głosiła o Romanie, że „kogo w mordę strzeli zdrowo, ten pamiątkę ma morową".

Chłop padł na podłogę, kobieta podjęła szloch:

— Tylko nie zabijajcie... Jest koń...

Rzucił na nią złym okiem chłop, poprowadził do sąsieku, targnął za rzemień — odjechała ściana pełna snopów, umieszczona na listwach w ramie. Wyjrzało nalane oko klaczy w małej prychliwej główce.

W ten oto sposób zebrano trzydzieści kilka koni. Major chce stworzyć pluton kawalerii i pluton piechoty.

SZKOLENIE I... NIESUBORDYNACJA

Oddział przenosi się do Anielina i rozpoczyna forsowne szkolenie. Bem, nie dosyć widać powściągnięty tym raportem karnym, szaleje. W mrozy piekielne dopada swoich rekrutów jeszcze za ciemna, wyciąga ze snu, pędzi do czyszczenia koni. Nim doszło się do stajen, buty twardniały jak skała. Poczynało się czyszczenie — od pęcin. Siódme poty biły na chłopaków, nie czuli już mrozu, buchając parą, po kolei zrzucali kożuch, płaszcz, sweter.

— Już wyczyszczony — meldują wreszcie.

Lis (degradacja przed wojną za „cuk" nieludzki i trzy lata więzienia) zbliża się, przysuwa do konia ostry nos i swoją lisią twarz:

— To ma być wyczyszczony koń?

I znów trzeba kręcić wiecheć — cała to sztuka. Szczotkują godzinę jeszcze, a koń wciąż kurzy.

— Już, panie plutonowy.

Lis jedzie palcami pod włos:

— Krampa cała w kurzu...

I tak w kółko. Bo ambicją „Oddziału Wydzielonego Kawalerii" jest, że nic się nie zmieniło, że żołnierz jest regularny, że kampania polsko-niemiecka z całym fasonem — trwa.

Toteż danie Teresce munduru jest ewenementem i wyłomem nie lada. Mój Boże — teraz widzimy tuzinami pięćdziesięcioletnich damskich poruczników, nie umiejących nawet dystynkcji rozróżniać, cóż dopiero broni! Biedna Tereska, spełniająca funkcje nad wyraz niebezpieczne, długo musiała się prosić o ten zaszczyt munduru. Chciał się z tych żalów a szlochów wymigać major, kupując jej piękną czarną suknię na wyjazdy, ale poradź tu z Tereską.

Major zezwolił wreszcie, ale postanowił dziewczynie dać szkołę: żeby wiedziała, że co mundur, to mundur. Kazał jej się zameldować w tym upragnionym mundurze.

— Panie majorze, strzelec Tereska melduje się.

— Kaczy chód! — rozkazuje Hubal.

Nieszczęsna Tereska chodzi jak kaczka z prysiudem.

— Za drzwi. Wejść ponownie! Kaczy chód...

Za czwartym razem strzelec Tereska, poddawany skomplikowanym „cukom", nie wytrzymał i ryknął wielkim płaczem:

— Panie majorze... ja już nie mogę... wszystko mi się pomieszało...

— Odebrać mundur!...

Dopiero szloch.

— Tyłek spiorę! — huczy major. Ale uważa, że już przesolił: — Odmaszerować. Noś już sobie ten mundur.

Strzelec Tereska rozjaśnia się. I po dziecinnemu przechodząc od płaczu do uśmiechów, występuje o nowe uprawnienia:

— Panie majorze, ale ja będę z ułanami spała...

Skaranie boskie z tą Tereską! Stateczny Świda, który przybrał pseudonim Lech, otrzymuje zadanie spania z nią.

— Ty tam jednak uważaj na tę dziewczynę, żeby jej nie napastowali — mruczy major.

Ale nie ma potrzeby. Wiadomo, że Tereska — to Tereska.

Gdy trzeba było — umiał się major ująć za swego „strzelca Tereskę".

Wysłał ją do Warszawy po kurierki. Dał list do powinowatego pod Nowym Miastem, aby przenocował Tereskę. Szlagon się obruszył: Nasyła tu jakąś dziewuchę, od razu poznać, że to nikt „z towarzystwa": „Szwendanie się jakieś, które tylko może ściągnąć kłopoty". Nie przyjęta Tereska dała sobie radę: pojechała do Warszawy, przywiozła kurierki i dopieroż rozpuściła buzię.

Major z irytacją szarpał brodę.

— Roman, odwieziesz kurierki na stację, potem zajedź do tego pana — pamiętaj, żebyś był w pełnym mundurze — i dasz mu naukę.

Wziął Roman Tadka i Stulika. Zrzucili przed gankiem kożuchy, Stulik został przy saniach, Tadek stanął u drzwi, Roman wszedł do hallu.

— Jaśnie pan w jadalni... ma gości... — tłumaczy lokaj na widok munduru i granatów u pasa. — Panie, tam... Niemcy — szepcze, zbywając lokajstwa, kiedy Roman nie daje się zatrzymać.

W pokoju jadalnym idylla. Treuhändler, jakiś Niemiec w mundurze, dwóch cywilów i pan domu trącają się kieliszkami.

— Morgen! — salutuje niezwykły gość do polówki. — Dom okrążony. Za nieposłuszeństwo kula w łeb. Pana — proszę na rozmowę.

Wyszedł z Romanem zmieszany dziedzic do drugiego pokoju. Sławne Hubalowe „dwadzieścia pięć w dupę i trzy razy po mordzie" były zbyt znane w okolicy.

— Wie pan, na co się pan naraża? — straszy Romana.

— Tymczasem wiem, na co się już pan naraził.

— Nie poznałem pisma... Bałem się prowokacji...

— Uszanuję pański siwy włos, ale dziesięć metrów owsa ma być na jutro przysłane; może pan wracać do tak miłego towarzystwa... żegnam.

Zmęczony czyszczeniem koni i cięciem łozy Białas dostaje od Hubala pięćset złotych i urlop na tydzień do Piotrkowa. Jechał, jak wszyscy Hubalczycy zawsze, w mundurze, bo major w wypadkach tylko wyjątkowych dawał zezwolenie na noszenie cywilnego ubrania. Ratował się, jak i inni w takich wypadkach, noszeniem obszernego kożucha. Miał dwa pistolety i granaty.

W domu — wielkie święto. Legenda o Hubalowym oddziale była wszystkim znana. Do młodego żołnierza cisnął się, kto mógł, każdy przynosił jakiś specjalnie cenny a to obrazek, a to medalik, aby chronił od śmierci.

Ślepa ciotka, żyjąca na łasce w jego ubogiej rodzinie, wywabiła go do kuchni i wcisnęła mu orzełka po legioniście z tamtej wojny i srebrną dziesięciozłotówkę.

Jednak nie wybył przyznanego mu tygodnia. O czwartej nad ranem pobiegła z ust do ust po całej dzielnicy wiadomość, że po domach idzie sztrajfa. Bracia Jurek i Zdziś wybiegli na obie strony domu ubezpieczać, siostra (którą wzięto potem do Oświęcimia) podała pistolety i pas z granatami. Nie żegnając się ze śpiącymi staruszkami, wypadł tyłami na inną ulicę.

Kiedy już brnął ostępem leśnym do Anielina, ude-

rzyła go cisza w osiedlu. Szwagierka sołtysa, u której mieszkał major, spotkała go szlochem:

— O Jezusie Najsłodszy!... Zdradził szwagier, zdradził... Niemcom nadał... O, żeby on z piekła nie wyjrzał... Złapały go nasze... Pan major liworwerem oko mu wybił... Wsadziły go na strych, miały sądzić, a ja głupia zapomniałam, że strych zna... Uciekł, do Niemców pewnie. I nasi musieli uciekać.

— Dokąd uciekli? Muszę za nimi...

— O Jezu, późno już, pan zachlapany, utytłany, zharowany jak nie człowiek...

— Przecie jeśli ich szwagier sprowadzi, to będę musiał strzelać... Zginiecie...

— Wszystko jedno... Pan zmęczony... Przecie i psa wstyd wypędzać w taką noc.

Został, przenocował. Sołtys nie wrócił. Okazało się, że, dręczony wyrzutami sumienia za to przesadnie gorliwe sołtysowskie urzędowanie, sam odszukał oddział na nowym m. p., rzucił się do nóg, obiecał ekspiację i był najwierniejszym odtąd agentem partyzantów.

Białas chodził na chybił trafił do znajomego leśnika. Istotnie zajrzał tam patrol, który go zabrał. Okazało się, że Hubal odskoczył z oddziałem aż do lasów przysuskich, do wsi Gałki. Bo już miał wiadomość, że w krąg lasów spalskich ściągają duże siły niemieckie.

Gałki, duża niegdyś wieś, ale rozkomasowana, liczyła kilkadziesiąt chałup słomą krytych.

Te słomą kryte kilkadziesiąt chałup, ostatni punkt zaczepienia regularnej armii wrześniowej, poczęły promieniować famą na całą Polskę. Niemcy już dobrze w kluby wzięli kraj, który pogodzić się nie mógł z utra-

tą niedawnej wolności. Do Gałek ściąga fantazja polska, polska niepokorność i polska rozpacz. Między innymi do Gałek dobrnął Brzozowski, sprawca mimowolny zbiorowego mordu w Aninie. W karczmie anińskiej do niego i jego towarzysza czepili się Niemcy, prowokując ich jako Polaków, a kiedy nie chcieli wznosić nakazywanych okrzyków, chcieli ich aresztować. Mieli przy sobie broń, musieli reagować. Za dwu zabitych Niemców wywleczono po nocy z domu dwustu Polaków.

Ustawiono ich rzędami po dwudziestu przed karabinami maszynowymi. Kiedy rozstrzelano dwustu, okazało się, że jest jeszcze ostatni rząd nadwyżki, liczący czternastu ludzi. Tych puszczono do domu. Z jednym z tej czternastki, który patrzył na całą egzekucję, mówiłem.

Za młodym wrażliwym chłopcem wlokły się cienie pomordowanych. Przyszedł do oddziału Hubala, by zginąć, i zamiaru świadomie dopełnił.

Tych straceńców pchało się do szeregów bez miary. Wiedzieli, że oddział jest pierwszą jednostką armii krajowej, którą miano tworzyć, dążono pod sztandary wojska, nad którymi ma władzę legalny rząd. Gdyby Hubal ogłosił odezwę, posłał werbowników, łatwo mógłby mieć wrychle kilkanaście tysięcy.

Ale major utrudniał przyjmowanie, jak mógł, przesiewał. Nie miał możności tworzyć dużego oddziału. Każdego kandydata osobiście badał, przyjmował nie więcej niż dwa, trzy procent zgłaszających się. Pomimo to oddział spuchł do trzystu dwunastu.

Powstaje półtora plutonu kawalerii, którym dowodzi rotmistrz Walicki (Walbach), ten z szarży pod Kutnem, jeździec z licznych konkursów hipicznych.

Kompanią piechoty dowodzi kapitan Pomian.

Poczyna się formowanie taboru.

Stworzona zostaje piekarnia. Chleb żołnierzom wydaje się bez ograniczenia. Mięsa otrzymują po ćwierć kilo dziennie. Tytoń przysyłają konspiracyjne władze z Kielc. Żołd wynosi po sto kilkadziesiąt złotych miesięcznie bez względu na szarżę. O pieniądze na żołd nie potrzebowała boleć głowa władz centralnych. Oddział zagarnął kasę wojskową polską, w której znalazł osiemdziesiąt tysięcy złotych i dwa kilo złota. Inną kasę wojskową, zawierającą sto siedemdziesiąt tysięcy złotych, przywieźli sami chłopi.

Oddział ma w krąg swoje placówki. Sołtys wsi Rzeczyca, Wojakowski (zabity przez Niemców w 1943 roku), skruszony sołtys Anielina są pełnymi oddania agentami. W Opocznie wielce energicznym agentem jest miejscowy restaurator, w innym miasteczku kierownik spółdzielni, który sam posłał syna do oddziału. Ziemianka panna Doda Szwejcer, odwiedzająca oddział konno, ofiarowała parę wierzchowców, dyrektor fabryki Gerlacha ofiarował na cały stan żołnierski piękne komplety sztućców w futerałach. Kurierki z Warszawy — Lodka, Genka, Hela, wypróbowane dziewczyny, dowoziły amunicję pistoletową, której bardzo brak było do siódemek belgijskich i do Walterów.

Żołnierz czuł się coraz lepiej, w swoim rzemiośle coraz sprawniej. Przez trzy niedziele z rzędu, po spowiedzi i komunii, ksiądz Mucha od nowo zaciężnych robotników z Tomaszowa, uczniów z Końskich, synów gospodarskich z okolicznych wsi odbierał przysięgę. Przysięgę składali nie Hubalowi... Składali ją według przedwrześniowego wzoru na wierność Rzeczypospolitej.

Pali ich chęć wzięcia wreszcie udziału w jakiejś akcji. Odżywają plany opanowania Opoczna. Przychodzi wieść, że w majątku Zameczek Drużbackich Niemcy trzymają piętnaście koni kawaleryjskich. Majątek ten, otoczony lasem Felgustów, graniczącym z lasami spalskimi, leżał na uboczu. W parku, który otaczał dwór modrzewiowy, stał ongiś zameczek myśliwski Kazimierza Wielkiego. Do dziś jeszcze pokazują resztkę tunelu, który miał wieść jakoby do domu Esterki.

Plan był wypracowany drobiazgowo. Białas miał jechać na wywiad i poprzecinać druty telefoniczne. Zaraz potem mieli towarzysze podjechać saniami, rzucić Białasowi erkaem, z którym miał ich osłaniać, sami zaś mieli rzucić się do stajen, gdy druga część miała obezwładnić Niemców. Białas kilkakrotnie przepowiadał otrzymane instrukcje majorowi, który sam sprawdzał jego pistolety, i już siedział w saniach, kiedy go odwołano.

— Marsz, smarkaczu, do domu — mówił major cholernie markotny.

— Co się stało, panie majorze? — pyta chłopak, który już wyobrażał sobie plastycznie, jak strzela z erkaemu, jak Niemcy spadają z koni.

— Gówno! — mówi Hubal ze złością.

Okazało się, że rozważny Korab nasiadł, że nie można ściągać pomsty na cywilną ludność, że jak instrukcje od naczelnej komendy, to instrukcje.

Wyżej uszu miał Hubal tych instrukcji!...

Za to serce mu rosło, gdy patrzył na krzepnący oddział.

Jeden z nowo przyjętych, którego nazwiska nie znam,

podporucznik rezerwy piechoty, w cywilu sędzia z Opoczna, który przyjął pseudonim Tchórzewski, otrzymawszy od żony z Opoczna dwa ogromne gary smalcu przetopionego ze słoninką, raczył nim swój pluton ku zazdrości innych plutonów. Coś, pożerając ten smalec, zawzięcie wkuwali, aż wreszcie pewnego dnia po ćwiczeniach podprowadził pluton pod Hubala i ryknęli mu na nutę „Hej strzelcy wraz":

Hej, partyzanci majora Hubali,
Idziemy dziś na krwawy z Niemcem bój.
Pragnienie zemsty serce nasze pali,
A przeciw nam bombowców wroga rój.

Więc granat w garść, a erkaem przy boku.
Na wrogów swych przypuśćmy dzielny szturm,
Niech stal granatów rani ich głęboko,
A erkaem niech sieje śmierć naokół.

Rozstawił Hubal nogi, chwieje się na nich z ukontentowaniem, śmieje się szeroko, z zadowoleniem gładzi brodę.

Tedy mu hukną na inną melodię:

Za gruzy naszych miast,
Za braci naszych krew,
Szarpajmy wrogów ciała!
Niech zniknie szwabski chwast!
Odpowie na nasz zew
Powstając Polska cała.

Hubal przy okazji sam lubił popić i innym nie bronił. Wszedł w modę samogon z miodem i masłem. Po-

ciągając go, Hubal przyglądał się, jak młodzi godzinami bawili się w „salonowca". To znaczy wybrany wypinał się, kładąc głowę na kolanach majora, inni go kolejno walili dotąd, póki nie odgadł, kto uderzył. Wówczas odgadnięty zajmował jego miejsce.

Tereska, obserwująca „salonowca", nie wytrzymała. Ale że ręki nie była dość pewna, zdzieliła Romana polanem, i wpadła, bo któżby sobie pozwolił na taką grę nie fair, jak nie Tereska. Dopieroż jak ją podłapało bractwo! Miała za swoje! Skończyło się bekiem, a potem znowu ją korciło.

Nabijał się z niej cały oddział, i coraz latała na skargę do majora:

— Panie majorze, ten Bem...

— Jaki Bem?

— Porucznik Bem...

— Jaki porucznik Bem...

— Pan porucznik Bem...

— Aha. No więc co?

— Mauzer mi ukradł.

U Tereski każdy pistolet nazywał się „Mauzer".

— Jak to? Zamieniłaś pewno?

— Ale niedobry...

— To po co zamieniłaś?

— Mały... ładny...

— Bem, jak to było?

— Sama chciała. A że łusek nie wyrzuca, to przecie na to jest żołnierzem, żeby umieć broń sprawdzić.

— Trudno, dobrowolnie zamieniłaś — konkluduje Hubal. Tereska łyka łzy, nie tyle przez ten obrzydliwy pistolet, ile przez to, że bractwo pęka ze śmiechu.

— No, inny ode mnie dostaniesz — pociesza Hubal.

Uboga wieś Gałki zda się stajenką, w której odbywa się misterium poczynania się nowego życia. Jak ongiś do stajenki dążyli nie tylko trzej królowie z bogatymi darami, tak i tu nie kończyło się na wierzchowcach panny Dody czy sztućcach dyrektora Gerlacha; zewsząd pielgrzymowała ludność z ubogimi darami.

Zwykle te pielgrzymki miały miejsce w niedzielę. Idzie chłopina z zawiniątkiem, ogląda się niepewny na te tam burmuszenia żołnierskie. Wiadomo — od urzędnika, a od żołnierza bezpieczniej chłopu jak najdalej. Przed chałupą większa żołnierzy gromada z pozdejmowanymi czapkami, jacyś mniej groźni.

— Jajków ta parę psyniósem — tłumaczy się chłop.

Nagle srebrzysty dzwonek zadźwięczał w chałupie, poklękały wojaki. Nad ich głowami ujrzał chłop księdza Muchę, jak wysoko wznosi Hostię.

— O Jezu, toć to prawdziwe wojsko polskie! — pada chłop na kolana.

Innym razem — Hubal akurat zabawiał się przy onym samogonie z miodem — wchodzi chłop omszały jak pień. Ułapił Hubala za kolana, płacze; tyle z tego starczego miamlania można zrozumieć, że krowę dla wojaków przyprowadził; z daleka, aże spod Opoczna. I niechże „Wielmożny pan naczelnik nie odrzuca chłopskiego daru".

— A wiele krów macie?

— Dyć ostała tam aby jedna jałówka.

— Zabierajcie swoją krowę z powrotem.

Ale chłop stoi na swoim. Że to „wy krwi nie żałujeta".

Skinął Hubal na adiutanta, przynosi pieniądze.

— Adyć ja i grosza trochy psyniósem — kwapi się stary wydobywać węzełek zza pazuchy.

Tak w sercach ludzkich buzowała się już wiosna przedwcześnie, chociaż na świecie stał jeszcze luty. Przecież dokoła Gałek w krąg nie było mostku, na którym by nie widniał napis:

„Im słonko wyżej, tym Sikorski bliżej".

Tak sobie te pisaki upodobały mostki na te napisy, jakby wymościć mostkami na wiejskich drogach chciały lekkie przejście tym niezmierzonym siłom, co wiosną ruszą Polską szeroko jak woda.

Poniektóry kundel polski już też poczynał kombinować, czy na tę wiosnę nie stawiać. I takich gości miewał Hubal w swojej chałupie w Gałkach.

Wchodzi typ, przedstawia się jako porucznik rezerwy.

— Siadać proszę, panie poruczniku — już mu złocisty samogon do kubka sączą.

— Na zdrowie, panie poruczniku. Z czym pan przychodzi?

Gość jest edukowany, polerowany, wyznający się w zagadnieniach. „Patrzący trzeźwo, ale bez iluzji". Gość „nie przeczy, że sytuacja Niemców jest raczej krytyczna", z drugiej strony jednak „nie należy zapominać" itd.

Słucha Hubal, zwężają mu się oczy, drgają policzki; jego bliscy wiedzą, że zły to znak. Ale zatokowany w kunsztownych ekwiwokach kundel brnie dalej. I wreszcie z tych rozważań „z jednej strony" i „z drugiej strony" wyłania się pater familias, który gotów spłonąć na stosie — niemniej jednak „z drugiej strony" — mając obowiązki względem rodziny, która teraz zwłaszcza jest więzią tego... hm... (kundel spojrzał na twarz majora i począł się jąkać) podstawą — chciałby wiedzieć, co będzie miał za swój akces, kiedy przyjdą alianci.

— Całuj mnie w dupę — przecina nagle Hubal misterny węzeł gordyjski, który upletli Brutus w kontrargumentach z paterfamiliasem.

— Won! — krzyczy, kiedy z nagła skonsternowany statysta nie może połapać się w sytuacji.

Na czwarty tydzień postoju w Gałkach poczyna się robić coraz ciaśniej. Niemcy uparcie ze wszech stron się podsuwają, przesuwają coraz bliżej i powiększają garnizony, które pełnią służbę, ćwiczą normalnie, ale pęcznieją i zaciskają się coraz bardziej.

Czym tłumaczyć taką cierpliwą taktykę niemiecką? Z jednej strony Hubal ich niesłychanie bluffował, myszkując patrolami w szerokim promieniu, nakazując ludności meldować ukazywanie się znacznych partyzanckich sił w coraz innych miejscach. Z drugiej strony, otrzymawszy od oddziału kilkakrotnie łupnia, Niemcy nie chcieli narażać na szwank nie tylko swoich ludzi, ale i swojej reputacji.

Ale są już tak blisko, że niejednokrotnie, odbywając ćwiczenia, żołnierze słyszą inne huki — to Niemcy ćwiczą na swoich strzelnicach.

Wreszcie nad wsią stale poczynają krążyć samoloty wywiadowcze. Latają tak nisko, że porywczy Bem chce do nich strzelać z karabinów maszynowych. Ale Hubal zakazuje.

Strony więc respektują się — na razie. Czujka niemiecka, wystawiona z cekaemem przed fabryką Gerlacha, zatrzymawszy Lecha i Dołęgę po godzinie policyjnej — ujrzawszy pistolety, czmycha ze swym cekaemem do bramy. Roman, wysłany z sześcioma ludźmi po broń, wraca w cztery wyładowane parokonne sanie. Wraca-

ją wąską wyjeżdżoną w śniegu drogą w jedną koleinę, natykają się na ciągnięty przez trzydzieści koni chłopskich drewniany pług, odgarniający śnieg. Podoficer niemiecki, nie mogąc się rozgadać z durnawym Stulikiem jadącym w pierwszych saniach, biegnie do ostatnich sań, w których siedziało dwóch pasażerów, suponując, że to siedzi właściwy dziedzic czy ktoś starszy. Istotnie siedział w nich Roman.

— Verfluchte polnische Schweine! — podnosi, czerwony ze złości i zasapania, rękę do uderzenia. W tej chwili powiał wiatr i uniósł plandekę, ukazując cekaem.

Niemiec cofa się, bełkocąc coś, blednąc nagle. Potykając się w zwałach śniegu idzie do pługa, gorliwie każe mu zjeżdżać w bok. Z palcami na cynglach pistoletów defiluje przed przykucniętymi w rowie Niemcami szereg wyładowanych bronią sań.

Do Gałek wjeżdża się teraz jak do fortecy. W krąg patrole ruchome, ronty, czujki, hasła. Od dwu dni zarządzone jest ostre pogotowie, i żołnierzom rozdano dwudniowe racje.

Roman melduje o swojej przygodzie majorowi, ale Hubal słucha z roztargnieniem.

— Zamelduj się panu pułkownikowi.

— Ci, co radzili, ci, co już czwartego, piątego września pozdejmowali mundury, a teraz, pod wiosnę... — wybucha Hubal.

Okazuje się, że Warszawa, nie mogąc sobie poradzić z anarchizmem Hubala, najprzód odwołała go z zastępstwa komendanta Okręgu Kieleckiego (Hubal komendanctwa za bytności w Warszawie nie przyjął, nie chcąc rozłączać się z oddziałem), a obecnie przysyła

pułkownika Millera (pseudonim pułkownika Okulickiego), komendanta Okręgu Łódź, aby zdemobilizował oddział.

— Czy pan pułkownik Miller prowadzi jaką partyzantkę? — pyta Roman. — Jeśli nie, pan major pozwoli, że nie będę się meldował.

Ale na razie wybucha strzelanina i wszyscy chwytają za broń.

— Panie majorze, jestem pod pańskimi rozkazami — deklaruje pułkownik Miller, wyciągając pistolet.

Alarm okazuje się fałszywy, ale tragiczny. W tym ciągłym wypatrywaniu, czy się coś nie rusza na lizjerze lasu, w tym ciągłym wyglądaniu nadciągających Niemców, postrzelały się dwa patrole; w jednym patrolu okazał się zabity, w drugim ciężko ranny.

Przysłano pułkownika Millera z jego misją do Gałek na pięć minut przed dwunastą.

Zebrała się odprawa z udziałem wszystkich oficerów, podchorążych i podoficerów nie mających służby. Około pięćdziesięciu chłopa.

Nie wszyscy byli krnąbrni jak Roman. Większość przecież trzymała się, psychicznie zawieszona na świadomości, że oto są pod rozkazami prawowitej władzy, ciągnącej się z pomazania prawowitych konstytucyjnych czynników, zasiadającej w stolicach świata, jako partner bliskiego wyzwolenia.

Dlatego nie miał wstydliwej roli pułkownik Miller. Przychodził jako przedstawiciel tej władzy. Stwierdził, że jest dumny z pobytu wśród żołnierzy oddziału. Że jednak oddział nie może być tak liczny, że jest rozkaz zredukować go do liczby, jaką miał po utarczce w Górach Świętokrzyskich: do trzydziestu kilku ludzi. Że

wszyscy inni mają już przydziały do roboty konspiracyjnej w kraju.

Zapanowało milczenie. Dotąd tu Hubal był bezapelacyjny pan i władca. Teraz w słowach pułkownika Millera przemówiło coś, co było ponad nim — rząd, racja stanu, plan.

Hubalowi zwęziły się oczy, tiki poleciały po twarzy. W tym wypadku nie można było przeciąć sytuacji szorstką żołnierską propozycją. Czuł to, widząc oczy najbliższych.

— Ja — powiedział zduszonym głosem — przysiągłem w Krupkach, że munduru nie zdejmę. Innych nie krępuję, nie wiążę. Nie mnie przysięgali. Niech namyślą się, bo gdy raz zostaną, będę wymagał. Zrobić odprawy. Zameldować wynik na osiemnastą.

Wstaje Korab (Karpiński) — najwierniejszy z wiernych. Obsiadły go wrzody jak pięść, ruszać się nie może, nie jechał na leczenie, bo chmury zbierały się nad oddziałem. Korab, mózg i rozwaga dowództwa, świetnie orientujący się w terenie, żołnierz z tamtej wojny, twardy charakter, który przypieczętuje pracę w wywiadzie w Radomiu śmiercią w gestapo.

Korab, który udaremnił wyprawę na Zameczek i powściągnął tyle innych odruchów, chce, aby dowódca „Wydzielonego Oddziału Kawalerii" — słuchał rozkazów. Tyleż razy wpłynął na Hubala, może i tym razem... Przecie Hubal tylokrotnie potwierdzał, że nic się nie zmieniło, że armia regularna, że przysięga dawna, że dawny porządek wojskowy, że rząd...

— Panie majorze, jako stary żołnierz żądam kategorycznie rozkazu od pana majora.

Ale w Hubalu stanął dęba zagończyk, twarz mu drga, nie może wydać takiego rozkazu. Czepia się myślą pre-

cedensu, który istnieje w marynarce — że najstarszy mówi na końcu.

— Masz iść na odprawę — mówi do Korabia — a po niej się zameldujesz. Moja decyzja na końcu.

Wyszli hurmem, pozostawiając jeno zatwardzialców. Sęp, Lech, Bem, Alicki, Roman, Dołęga, ksiądz Mucha podchodzą kolejno do Hubala i meldują, że nie mają o czym myśleć, więc na odprawy nie idą. Czują, że krzywdę im robi ten warszawski rozkaz, bo przecie pokochali ten mundur — na śmierć i życie. Nie zdejmą go. Przez nich to ten chłop, chwalący sobie okupację i ceny, przejrzał, ocknął się. Przez nich wieść idzie po Polsce i karki rozprostowują się ludziom. Zostaną przy majorze.

Odwrócił się Hubal ku oknu, by ukryć wzruszenie.

Na odprawach młodziki poddane są próbie ponad ich umysłowe zasoby. Rząd w Angers każe, sam rząd Najjaśniejszej, wciąż istniejącej Rzeczypospolitej. Więc szukają chłopięcych wybiegów, by zostać. „Posłuchałbym rządu, ale przy manipulowaniu bronią raniłem kolegę, major mi pakę darował, kazał się zrehabilitować w polu. Więc muszę..."

Na godzinę osiemnastą już Hubal wie, że opuszczają go wszyscy starsi wiekiem i stopniem. Odchodzi kapitan Pomian, odchodzi rotmistrz Walicki, a więc i dowódca piechoty, i dowódca kawalerii, odchodzi Korab, odchodzi autor hymnu Hubalczyków, Tchórzewski, odchodzi porucznik Lachowicz i tylu innych. Nie zobaczy już oddział urlopowanych Iljina i Gołki, i innych. Któż zostaje?

Odchodzący rozjeżdżają się tegoż dnia, nie żegnani

przez majora, który zamknął się w izbie. Korab tylko dostaje się do niego.

— Rób, jak chcesz — ściska go Hubal — ale ja ci daję tylko dwumiesięczny urlop... Z powodu wrzodów...

Flegmatycznemu służbistemu Korabowi łzy płyną po twarzy.

Idzie wieczór, czuwają placówki, wystawione spośród pozostających, a do sznureczka wypływających ze wsi coraz to dołącza się i taki, który nie zdeklarował się na odprawie.

Ilu ich zostanie?

Za ciemna stanął apel tych, co zaraz ruszą z buntowniczym majorem w nieznane, już bez opieki owego potężnego rządu w Angers, bez owych wspaniałych sojuszników, bez papierosów z Kielc, bez kurierek z Warszawy, bez kontaktów — w zwilgłość pierwszych roztopów, między butwiejące strzechy nędznych wsi.

Major przyjmuje apel na koniu. Podjeżdża do niego z raportem Lech:

— Panie majorze, melduję posłusznie oddział do apelu. — Tylu i tylu oficerów, podoficerów, ułanów.

Okazuje się, że jest osiemdziesięciu ludzi i pięćdziesiąt koni, łącznie z taborowymi.

Hubal przejeżdża wzdłuż szeregu. Mży blask od śniegu, może każdego poznać. Osadził konia:

— Nie będę przyjmował nowych do oddziału. Musimy tylko utrzymać się. Taki rozkaz. Ten, co go dawał (p. m. Torwid-Tokarzewski), nie odwołał go. Wiosną rozpoczniemy dywersję. Kierunek — w Góry Świętokrzyskie. Za mną!

Po zboczach drogi czernieją gromadki ludności. Kobiety płaczą, żegnają krzyżem świętym.

Po sześciu tygodniach, kiedy śniegi zeszły i można

było użyć broni motorowej, Niemcy otoczyli wieś, rozstrzelali ludność do ostatniego dziecka; Gałki — polskie nieznane Lidice — spalili i spędziwszy ludność okolicznych wsi, kazali gruzy rozmieść i zaorać.

Tak „ze słoneczkiem wyżej" przyszła wiosna dla wioszczyny, której się zdało być Betlejemem.

WIELKI BÓJ POD HUCISKAMI

Oddział zakwaterował się w Huciskach. Kąt to inny niż reszta Polski. Pełno zamarłych kopalń w krąg, po stromiznach świerkowych pełno odwiecznego diabelstwa. Kolej daleko, zima ostra nad wyraz, cała okolica tonie w głębokich śniegach.

Znów ludność znosi jadło, opieka oficjalnej Rzeczypospolitej cofnięta, a przecież z jej strzępków żyją. Dzierżawca rządowy, Niemiec od 1920 roku ożeniony z Polką, tenutę za stawy rządowe wpłaca oddziałowi, każe sobie skrupulatnie wypisywać kwity. Poza tym donosi, co Niemcy myślą, a myślą niedobrze. Wiedzą, gdzie oddział siedzi, znów przetaczają te swoje śmieszne garnizony, wywiadują się, szkice zbierają — rzekłbyś: machiny oblężnicze budują na rozpoczęcie szturmu do licho wie jakiej fortecy.

W gromadce straceńców, znowu powiększonej do setki, bo major mimo mocnych postanowień przyjął koło dwudziestu ochotników, panuje nastrój zupełnie beztroski. Niech się major za nich martwi, trzeba korzystać z młodego życia! Raz po raz przyjdzie żałość, jak w ten pierwszy dzień świąt Wielkiejnocy, spędzony bez panów w czarnych ubraniach, bez kurierek z Warszawy, bez spirytusu i papierosów z komendy okręgo-

wej, kiedy o Sikorskim już nie informuje nikt, kiedy w tym zawianiu śniegiem ksiądz Mucha ponownie przyjmuje przysięgę od ochotników, ponownie i wciąż, i uparcie na tę Rzeczpospolitą, która ich znać nie chce. Ale znów przybywa ciepłą falą młodość i chęć życia, i — „niech się major martwi".

W drugi dzień świąt Roman, otrzymawszy dwudniową przepustkę, jedzie do dziewczyny o sto kilometrów od Hucisk. A że w pojedynkę major jeździć zabraniał, dobrał sobie durnego i odważnego Stulika.

Sto kilometrów było przez Drzewicę, a w Drzewicy stało tysiąc Niemców (okrążanie na dobre się rozwijało). Objeżdżać aż przez drugi most, jak kazał major, znaczyłoby to nadrobić w jedną stronę trzydzieści kilometrów. W dwa dni zrobić dwieście sześćdziesiąt kilometrów — nie podziękowałyby za to konie, nie byłoby wiele profitu z dziewczyny.

Tedy pojechali — zakochany Roman i gotowy na wszystko Stulik — przez Drzewicę. Przejeżdżali pusty jej rynek nocą. Po ulicach zalegały łaty śniegu, ale po łysinie rynku kopyta huczały jak dzwon.

Za miasteczkiem tuż za mostem stały koszary z Niemcami, a na moście ich posterunek. „Tak cóż ty zrobisz?" — jak mówią u Romana w wołożyńskim powiecie: pistolety w garść, przegalopowali most i ostrzelawszy budkę strażnika, pomknęli dalej. Byli już z pięćset metrów od koszar, kiedy zaterkotał za nimi cekaem.

Wracając musieli już nadrabiać drogi, bo Niemcy zrobili sądny dzień z tym „napadem na koszary", organizując obławę w szerokim promieniu.

Zachodzi major w głowę, co by to za napad być mógł, co za konkurenci pojawili się w okolicy, wreszcie tropnął się i woła Romana:

— Jak jechałeś na przepustkę, robaczku?

Ale tylko w brodę się uśmiechnął; amator był na takie rzeczy.

Niewidzialne palce niemieckie — czuje się, jak do kosteczki rozbierają oddział, jak analizują każdy magazynek w ładownicach.

— Co pan tu uważa? — pytają huciscy chłopi jakiegoś obcego ubranego z waszecia, który przechodził Huciska.

Pokazuje na usta, wydaje nieartykułowane dźwięki — niemowa.

Po paru pejczach przez pysk niemowa przemówił — po niemiecku. Jest żołnierzem. Granatowa policja w Chlewiskach dała mu cywilne ubranie i wskazówki.

Niemca rozstrzelano, a do granatowej policji z wizytą posłał major Alickiego z siedmiu ułanami.

Jakże tu wzbierają te wojskowe i policyjne załogi dookoła!... Okazuje się, że w Chlewiskach jest skoszarowanych czterdziestu policjantów.

Jeden ułan został przy koniach, inni stanęli pod oknami. Alicki stuka do drzwi.

— Kto tam?

— Wojsko polskie...

Cisza.

— Pierwszy pluton z koni i do okien! — komenderuje Alicki.

— Otwieramy! Już otwieramy!...

Mdło oświetlona sala koszarowa. Rozbudzeni policjanci stoją między łóżkami w bieliźnie. Jeden sika pod łóżko z tego strachu.

— Komendant? Pan nauczył szpiega, jak nas szpiclować? Pan go przebrał za cywila?

— Takie miałem rozkazy...

— Kładź się, jakeś taki posłuszny na rozkazy.

I wobec asysty czterdziestu podkomendnych pan komendant, obnażywszy uprzednio starannie na rozkaz to, co potrzeba, otrzymuje nahajem sakramentalne dwadzieścia pięć.

Tegoż samego wieczora sierżant, posłany o siedem kilometrów po młynarza Niemca zbytnio interesującego się oddziałem, przerywa majorowi bridża:

— Panie majorze, melduję, że przywiozłem ptaszka.

— Pokaż.

Sierżant wraca w towarzystwie dwu ułanów, którzy dźwigają długi zamączony worek. Dopieroż z niego wyłabudują skulonego umączonego Niemca.

— Wstać — mówi Hubal do tragicznego arlekina. Niemiec leży.

— Wstać!

— Ich verstehe nicht polnisch.

— Toś się urodził w Polsce i nie rozumiesz? — jak nie wyrżnie szpicrutą. A szpicruta fajna, zakończona sarnim rogiem, z tabliczką: „Swemu dowódcy". No i pękła...

Opadła na krysie przez pysk mąka, wzbierać poczęła krysa krwią. Poderwał się Niemiec, milczy.

— Ty skurwysynu, od urodzenia polski chleb żarłeś! — Major sarnim rogiem bije w usta; zda się, że otworzył krwawiące usta jak kluczem, bo Niemiec najczystszą polszczyzną zagadał: że — niewinny.

— Zrewidować!...

Jest! Jest list. Zapieczętowany, zaadresowany do niemieckiego komendanta w Opocznie. A w liście — wszystkie szczegóły o oddziale.

— Szpieg?

— Niemiec jestem.

— Skąd wiadomości?

Milczy.

— Powiesić!

Dopieroż gdy go pociągnęli do wyjścia, zagadał: wiadomości miał od chłopów z młyna i od niemieckiego kolonisty Webera.

Spojrzał major po swoich — pożałował ich na brudną robotę:

— Rozstrzelajcie.

— Panie majorze — skłamrze szpicel.

— Precz!

Jeszcze nie rozległy się strzały, a już galopował wachmistrz Roman, wysłany po Webera. Przy nim Lis, Tadek i jeszcze jeden ułan. Podporucznik Bem dołączył na ochotnika, więc komenda została przy wachmistrzu.

Noc. Gospodarstwo na odludziu. Stukają do drzwi.

— Kto tam?

— Leutnant Schmidt.

Nie pomaga.

— Tür auf! Choroba jasna... — łomoczą kolbą.

Weber otwiera.

— Broń oddaj!...

— Nie mam.

Cios w pysk. Żona odmyka szafę, w której stoi kilka karabinów.

— Żona Polka — jęczy Weber — dzieci polskie, nie umieją po niemiecku...

Jeszcze raz dostaje w mordę.

— Ubieraj się.

Dzieciaków ośmioro. Jasne buźki, polskie. Z warkoczami. Całują ułanów po rękach i nogach, przypadają do ojca:

— Tatuśku, najmilszy!... Co z tobą zrobią?...

Roman ściga się z własnym sercem, bo jeszcze chwila, a załamie się. Wypycha Webera w objęcia Lisa.

— Ucieka!... — krzyczy Lis.

Weber nurknął pod konia, słychać, jak chlapie błoto. Roman na ten chlap daje cztery strzały, w ich błyskach widać uciekającą sylwetę. Skrył się w krzakach.

Lis, nie używany do żadnych samodzielnych funkcji od czasu zanocowania i wsypy z Gruszką, srodze zrugany przez majora za wypuszczenie Webera, poczuł, że mu życie niemiłe. Czuł, że musi coś wyczynić, aby się odkuć w opinii. Wysłany po zakupy do Chlewisk, jak zwykle w mundurze, bo inaczej żołnierze „Wydzielonego Oddziału Kawalerii" nie mieli prawa chodzić, znajduje w sklepie kupę Niemców i przed nimi stertę zakupionych paczek.

Przypomniał sobie praktykę w niemieckim przy żonie Niemce. Nie racząc wyjmować rewolweru, jeno świecąc mundurem, wypytuje dokładnie — co w tej paczce, a co w tej? Rachunek jeszcze nie uregulowany? „Bitte zahlen" — zwraca się do Niemców. Przerażeni, rzucają portfele na stół. Zagradzając sobą drzwi, dokonywa drobiazgowej operacji obliczania i płacenia i zwraca portfele z resztą gotówki.

— Schönsten Dank für die hübschen Geschenke für polnische Heerestruppen.

Sierżant, który przywiózł w worku młynarza, wrócił z patrolu mocno spietrany. Major zakazywał burd z Niemcami, a tu mu się zdarzył fatalny casus: zaszedł ze swymi w kożuchach do karczmy, więc Niemcy nie poznali, że to żołnierze. Powiedzieli coś wzgardliwego na Polaków, ci się odcięli, Niemiec uderzył sierżanta w twarz, ten stracił panowanie nad sobą, wyprowadził wszystkich trzech Niemców z karczmy i zastrzelił.

— Panie majorze — tłumaczył się — nadbiegło jeszcze kilku. Złapałem pierwszego z brzega za kołnierz, tłumaczył się, że jest Bawarczykiem, i puściłem.

Ale tłumaczenie nic nie pomogło — sierżant powędrował do paki zainstalowanej w chlewie.

Wreszcie stało się, co się miało stać z tego cierpliwego przygotowywania się Niemców, szpiclowania, grupowania się a osaczania.

Nadszedł dzień 30 marca, dzień walki pod Huciskami.

O godzinie 4 rano tego dnia przycwałował jeden z ochronnych patroli z wiadomością, że Niemcy schodzą szykiem ubezpieczonym z góry, spływającej na płaską kotlinkę, na której drugim wyniesieniu stały Huciska.

Równocześnie patrol kontrolujący szosę Chlewiska — Skłoby doniósł, że posuwa się nią duża ilość wojska, że poprzedza patrol z cekaemem.

— Cekaemy w patrolu? — spytał zemocjonowany podchorąży Barbarycz, który przystał w Gałkach. Był on dowódcą dwu cekaemów, jakie posiadał oddział, i bolał, że nie ma ich więcej. — Panie majorze, łatwo zasadzkę urządzić i cekaem zdobyć. Przecież to tylko patrol.

Hubal pozwolił. Barbarycz pogalopował z czterema ułanami.

Jasne, że Niemcy otaczają. Ci, co z góry schodzą, są bliżsi. U tamtych może Barbarycz narobi zamieszania, zmusi ich do rozwinięcia się przedwczesnego w przekonaniu, że natknęli się na główne siły majora Hubala.

I major, pchnąwszy silny patrol konny kaprala Pomsty za Barbaryczem jako ewentualną łączność i osłonę, podjeżdża do piechoty, czterdziestu dwu żołnierzy, których już sprawił Sęp.

— Chłopcy! To oni zaczepili. Dziś się zaczyna. Nic nie macie do stracenia!

Zwraca się do Sępa:

— Zejść w dół, obsadzić się przy szosie, nie otwierać ognia za wcześnie.

Ruszyli ostro w dół, a Hubal przyskoczył do plutonu konnego:

— Wysłać patrol dla sprawdzenia, czy Niemcy nie obchodzą. Prowadzi... — zawiesił głos, przemierzając twarze.

— Panie majorze... ja — wysunął się błagalnie jeden.

Poznał major tę ciemną, ściętą bólem twarz. To Brzozowski, ten z Anina, który szuka śmierci.

— Nie o twoją śmierć chodzi, a o wiadomość — mówi chmurno.

— Jeśli umrę, znaczy — obchodzą, i pan major będzie miał wiadomość.

— Dobrze.

Pokłusował z Tadkiem i drugim ułanem. Skryli się za górką.

Patrzy Hubal z góry na oddział Sępa, który już wdał się w walkę. Niemców mrowie. Po bitwie stwierdzono, że szły z górki do ataku dwa bataliony, tzn. tysiąc pięćset chłopa. Silnie uzbrojeni w broń maszynową i granatniki. No, naszych mało, ale oni czekają na miejscu i mają szesnaście erkaemów.

Za Hubalem ksiądz Mucha, któremu zęby szczękają ze strachu. Święty ksiądz — im bardziej boi się, tym więcej się przemaga:

— Panie majorze, a może natarcie zrobimy?

— Precz, katabasie!

Widać, że nasi padają i że zaczyna być źle. Lewe skrzydło, dowodzone przez Drabika, cofa się.

Tereska z pistoletem w garści leci z górki. Nie przypadła do ziemi ani razu. Jednym pędem dobiega do Drabika, nawymyślała mu piskliwie, leci naprzód. Poszli za nią. Niemcy zaczęli uciekać. Słychać z Hubalowego miejsca krzyki ich oficerów: „Halt!..." Diabła tam halt! Już uciekają całą ogromną masą. Już uciekają na całej szerokości. Brawo, Tereska!

Wraca patrol Pomsty z wiadomością, że patrol Barbarycza wybity, że Barbarycz poległ. Pomsta dotarł do szosy na tyłach. Stoi tam około pięćdziesiąt samochodów, które przywiozły Niemców, stoi dowództwo.

Hubal czuje się bezpieczny od strony Sępa, może rozporządzić ostatnim odwodem.

— Wachmistrz Alicki dojedzie do miejsca, na które poprowadzi Pomsta, spieszy pluton, uderzy na samochody, spali.

W plutonie jest już tylko dwunastu, bo reszta rozepchnięta na patrole. Widząc, że główne natarcie niemieckie się cofa — Bem, Roman, Lech, Zemsta i inni przyłączają się na ochotnika.

Pomsta prowadzi przemyślnie dołem zalesionej górki, która oddziela od szosy. Dali koło duże, spieszyli się o trzysta metrów od szosy, pną się ku niej przez zarośnięte zbocze. Już prześwit. Przywarli brzuchami — widzą: o trzy metry za szosą z tamtej strony zaparkowane samochody. O jakie dwadzieścia metrów od nich na małym wzniesieniu oficerowie lornetują walkę.

Mają jeden elkaem, bo inne poszły w patrolach, dwa precyzyjne sztucery „prezydentowskie" ze Spały, poza tym każdy ma karabin, pistolet i po dziesięć do piętnastu obronnych granatów.

Kapral Kagankiewicz, zawodowy plutonowy artylerii, mistrz elkaemu, intonuje. Umieściwszy się wygodnie i aż przebrednie swoją maleńką kogucikowatą postacią, naprzymierzawszy się i napoprawiawszy, jedzie po tej grupie sztabowej za drogą. Zaraz za nim popykiwać poczęły „prezydentowskie", a między samochodami rwać się niezliczone wybuchy granatów.

Niemcy popadali, ale grunt nie dawał wielkiej zasłony. Maestro Kagankiewicz wyłabudywał ich pojedynczo z każdego płytkiego dołka, podobnie jak pies wygryza pchły. Wypuścił wszystkie dwadzieścia magazynków bez jednego zacięcia. Inni chodzili sobie karabinami po Niemcach, wybierając jakby widelcem z bufetu: może grzybka a może śledzika. Wreszcie, widząc, że Niemcy całkiem już przytłumieni, wypadają na szosę do walki wręcz. Z rowu z przeciwległej strony szosy podnosi się postać w polskim mundurze; z lewej podniesionej ręki bucha krew.

— Koledzy, nie strzelajcie! — przebiega do Polaków.

Zza górki od strony Skłobów pokazał się osobowy wóz. Błysnął we wschodzącym słońcu i znów skrył się

za falistością terenu. Cofnęli się w krzaki, znieruchomieli w oczekiwaniu. Wóz znów się ukazuje na załomie, znów ginie z oczu — widać, że jest to wielka limuzyna, wóz dowodzenia.

Znowu się wyłonił o jakie pięćdziesiąt — sześćdziesiąt metrów. Wschodzące z przeciwnej strony słońce ostrymi promieniami przebija limuzynę — widać w niej pełno oficerów. Gdy wóz jest o dwadzieścia metrów, spotykają go strzały, Roman rzuca granat, limuzyna staje z przechyłem, oficerowie niemieccy wyskakują z pistoletami w garści, padają przeszyci kulami.

Ale z kupy powalonych Niemców idą strzały. Roman biegnie strzelając, jest o trzy metry od strzelającego, już widzi twarz Niemca w okularach w złotej oprawie. Niemiec bierze Romana na cel, a ten czuje, że już wystrzelał magazynek. Na szczęście dopada Lech, kopie Niemca w rękę, kula poszła bokiem. W następnej sekundzie Lech go zabija.

Pomsta zrywa zabitemu szlify.

— Palić samochody!

Sprawiają je jeden za drugim: strzał w zbiornik — zapałka do strugi. Przy siedemnastym widzą, że od strony pobojowiska ciągnie kupa Niemców. Cofają się w las, Alicki rannego Polaka bierze na siodło, wracają do majora w stanie powiększonym o jednego.

Dojeżdżają do Hubala, uformowani dwójkami, z fasonem. Są pokrwawieni, ale niemiecką krwią, gdy uwijali się przy trupach.

Alicki podjeżdża przepisowo, salutuje:

— Panie majorze, melduję, że rozkaz wykonany.

— Dobrze było, chłopcy!

— Ku chwale ojczyzny, panie majorze — skandują ułani „Wydzielonego Oddziału Kawalerii".

Major ogląda naramiennik szwaba, sprawionego przez Lecha:

— Pułkownikowski — mówi z uznaniem, oglądając złoty pleciony bulion. — A ten drab to kto?

„Ten drab" okazał się synem właściciela Chlewisk. Skombinował sobie mundur i właśnie dążył do oddziału, gdy go Niemcy ogarnęli.

Wraca Tadek z drugim ułanem z patrolu Brzozowskiego.

— Panie majorze, Brzozowski nas zostawił za górką, a sam wysforował się naprzód. Podpełzłem pod szczyt i widziałem, jak otwarto do niego ogień i jak spadł z konia. Potem podjechali do niego Niemcy, ale był martwy.

Dotrzymał obietnicy — rozeznał: „ekspijował" za masakrę w Aninie.

Teraz jest czas i na relację o Barbaryczu jedynego uczestnika jego patrolu, który — ranny — wrócił.

Patrol niemiecki, idący w szpicy, zauważył patrol Pomsty, wysłany jako osłona dla Barbarycza, i zapadł w zasadzkę, na którą nadział się odsadzony w przód Barbarycz. Meldujący ułan został ranny wraz z drugim kolegą. Barbarycz krzyknął rannym, żeby się wycofali, a sam z dwoma pozostałymi osłaniał odwrót. Mimo to tego drugiego rannego zabili. Osłaniający też nie wrócili — widać polegli.

Hubal posyła Romana z Tadkiem i Stulikiem ku Skłobom. Zaraz za błotnistym zakrętem leży ciało owego rannego ułana dostrzelonego w odwrocie. Zaraz po-

tem trup Barbarycza przy dwu trupach niemieckich. Potem znów w dalszej odległości dwa trupy ułańskie.

Z każdym mijanym trupem krew coraz bardziej tężeje w żyłach trzyosobowego patrolu. Wieś Skłoby milczy, zastygłszy wybiegiem opłotków w podkisłe łąki. Za burymi chałupami zaczaiła się ta sama śmierć, która skosiła patrol Barbarycza.

Zda się, czują tę śmierć nawet konie. Gdy Roman skręca ze śmiertelnej drogi w pole, żagwią się niosem trząskim w bok a w bok, byle zejść temu czemuś nieznanemu, co we wsi czeka. Z pyskami zdartymi wędzidłem już wreszcie są między pierwszymi krzakami bramującymi pole i już odprężają się ułani i konie, już pomykają, świadomie wielkim łukiem okrążając wieś.

Dopieroż gdy od tamtej strony ją zaszli, gdy przysunęli się pod fałdę ostatnią, że już za nią tylko wieś jak na patelni, warknął Roman: „Czekać tu!" — i sam skoczył.

Przypomnieli koń i jeździec cwał mimo budki szyldwacha w Drzewicy. Położył się wierzchowiec brzuchem na ziemi — przegalopował Roman Skłoby z pistoletem w garści. Mignęły płoty, garnki na kołkach wbitych w ścianę, zatrzaśnięte okna, rozwarte wrótnie. Wymarła stoi wieś Skłoby, wykopalisko jakieś, ni to Biskupin nowy, który zostanie pokoleniom tej wojnie na znak.

Przyhamował za wsią, obrócił konia — i znowu w pęd z powrotem. Czy gdzie nie gdaknie zza płota zagapiony kaem?

Że wieś milczała — dopadł tamtych dwóch i już inną manierą, truchtem drobnym, fasonem ułańskim, zapychają ku wsi jak po swoje.

Jakoż w pierwszej z brzega izbie — są ludzie. Baba zaniemówiona ze zgrozy i chłop w wypełzłym kożuchu.

Rozeznał swoich, wykicał ku drzwiom.

— Coście narobili, ludzie?! Co z nami tera będzie?!

Wlazł w ramę drzwi, w którą jarzyło słońce. Pojrzał na drogę wiejską, rozpryskaną w bajorach niezwykłymi śladami. I nagle:

— Jak psy tu uciekali! Pełno trupów na maszynach wieźli. O, patrzajta na drogę — ady ciekły krwią jak wieprze!...

Nie, nie ma Niemców we wsi. Słońce stoi nad nią jak żółtko — zda się wstrzymało się w biegu i tak zamrze. Starzy teraz we dwoje chrypią, jak było. Tyle wyrozumieć można, że naprzód, jak się rozległa strzelanina z patrolem Barbarycza pod wsią, przewieźli dwu rannych do tyłu. A już potem, po bitwie, runęła ta krwawa ławica.

Stępa, rozglądając się, wyjeżdża Roman ze swymi ludźmi z powrotem. Mają czas, starają się wczytać w to, co tu się działo.

Ten pierwszy trup to pierwszy ułan zabity spośród trójki, osłaniającej odwrót rannych po pierwszej salwie. Tu już dalej cofali się kolejno Barbarycz z jednym pozostałym ułanem. Osłaniali siebie kolejno, aż o! — tutaj poległ ułan. I już zaraz ciało Barbarycza. Przy nim dwa niemieckie trupy. Skąd?...

Zeszli z koni, usiłują wyrozumieć. Trup Barbarycza leży na brzuchu, głowa, zmasakrowana jakąś eksplozją, nierozpoznawalna, wisi na kadłubie krwawym rozwarciem wyszarpanego gardła. Obaj zabici Niemcy leżą omal na nim, odrzuceni z lekka wybuchem. Porwane w krwawą miazgę mundury wskazują, że powalił ich ręczny granat. Ale któż go mógł rzucić? Pomsta ze

swoim patrolem był jeszcze zbyt daleko, a przecie Barbarycz — to już był ostatni walczący.

Barbarycz? Tak, to jego dzieło. Postrzelony śmiertelnie w pachwinę i spływający krwią, widząc zbliżających się Niemców, przywarł do ziemi, trzymając granat pod gardłem. Już dobiegają... Wyliczył... Odbezpieczył...

— Sto-dwadzieścia-jeden... O Matko Boża, czy się nie zatrzymają?...

Biegną ku niemu równo. Na łatwy łup i po pewną śmierć.

— Sto-dwadzieścia-dwa... — rzęzi granat pod gardłem, dojrzewając ku wybuchowi.

— Sto-dwadzieścia-trzy... — Już klamka zapada, już nie wyrzuci od siebie granatu kurczowo zaciśnięta dłoń. Kopnięcie buta, blask wybuchu i wolność!... Wieczysta wolność podchorążego Barbarycza.

Hubal z oficerami objeżdża pobojowiska. Tam na szosie, gdzie nastąpił rozgrom samochodów niemieckich, błyszczą gęsto w słońcu krzepnące kałuże krwi. I jak przodkowie jeździli oglądać po boju krwawą robotę Longinusa Podbipięty, tak teraz Hubalczycy kontemplują w zdumieniu robotę maestro Kagankiewicza. Naliczyli czterdzieści trupów, położonych przez jego serie.

Ale najwięcej raduje serca żołnierskie główne pobojowisko, gdzie się potykało czterdziestu dwóch Sępa. Od miejsca, w którym Tereska narobiła jazgotu pod górkę ku lasowi — jakby krwawym chlustem zalało zbocze szesnaście naszych elkaemów. Leżą nienawistne sine mundury wiankami, leżą przeważnie strzeleni w tył, rozkraczeni w tym obłędnym uciekaniu pod gór-

kę, niepomni nawoływań: „halt!", z twarzami ściętymi przerażeniem. Władcy, panowie polskich dróg, polskich miasteczek, wiszący władczym skrzekiem nad zmartwiałym krajem! Więc jest ktoś, kto ich pogromił?! Więc jakież rezultaty, choć tak nierówne siły, uzbrojenie, choć tak nierówna walka?!

Rozbiegli się żołnierze po pobojowisku — liczą trupy. Z tymi, co leżą na szosie — dwieście pięćdziesiąt. Trzynaście trupów oficerskich. Chłopi, którzy już napłynęli, strzygąc okiem oficerskie sztyblety, informują, że Niemcy wywieźli na kilku ciężarówkach sterty trupów, podczas kiedy część rannych musiała wracać pieszo. Hubalczycy obliczają ilość wywiezionych trupów na siedemdziesiąt. Trzysta dwadzieścia trupów! A ranni?

Naszych poległo dziewięciu, czterech zostało rannych. Tych rannych niezwłocznie wyprawiono na przechowanie i leczenie do owego przyjaciela — Niemca. Tym dziewięciu u skraju lasu wykopano groby, przy każdym umieszczono butelkę z personaliami. Wszyscy rzucali ziemię do grobu. W rychłą ziemię wbito dziewięć krzyży — aby świadczyły na tej ziemi, jak przez ubiegłe lata krzyże powstańcze. Długa seria ciężkiego karabinu maszynowego oddała salwę honorową.

I wtedy — znowuż upojenie zastąpiła rzeczywistość. Przynajmniej dla ich wodza.

Co robić?

OKRĄŻENIE POD SZAŁASAMI

Najbliżej lasy przysuskie, w których łatwiej się kryć. Pchnął na nie major natychmiast po bitwie, jeszcze przed pogrzebem — Lecha z silnym patrolem. Dojechał Lech do Krasnobrodu, przepenetrował uliczki, pozaglądał w obejścia — nie znalazł by jednego Niemca w Krasnobrodzie, cisza go witała i za Krasnobrodem.

Ściągnął Hubal czoło pionową, tak charakterystyczną zmarszczką. Różnie zwierz dziki zachowuje się w obieży. Szarak uszy położy po sobie i kica najcichszymi duktami, na których słychać tylko postukiwanie dzięciołów. A tam właśnie, na tych przesmykach pod okapem świerków — myśliwi. Lis wystawi trójkątną mordę z bakami pod wiatr, przetańcuje w kółko naokoło własnej kity i wyrywa, gdzie jazgot największy, gdzie stłoczyły się furmanki oczekujących na myśliwych.

Lisią snadź naturę miał w tej grze o życie Hubal, bo wyczuł, że Niemcy chcą go wciągnąć w lasy przysuskie, i nakazał marsz... za wycofującymi się z bitwy Niemcami, na Odrowąż.

Wkrótce sprawdziło się, jak słuszną powziął decyzję. Okazało się, że jednokierunkowe, a nie oskrzydlające uderzenie niemieckie na Huciska nie było błędem, tylko celową operacją. Niemcy oceniali, że oddział Hubala

liczy... sześć tysięcy żołnierza, i na Huciska uderzyli jednym batalionem przy wsparciu bronią maszynową drugiego batalionu z prawego skrzydła. Za Huciskami na lasy przysuskie stała pustka, a w lasach przygotowana silna zasadzka. Razem z obstawieniem skrzydeł, które niby ścianki leja miały zapewnić wlanie się do lasów przysuskich cofających się Hubalczyków — w operacji brało udział pięć baonów SS, Wehrmacht i policja niemiecka — ponad piętnaście tysięcy chłopa.

Ruszyli w ślad za tymi Niemcami przed zmierzchem. Szli ostrym marszem, usadowiwszy piechotę na wozach. O pierwszej w nocy stanęli pod Odrowążem. Konna szpica zwiedziała się w pierwszej chałupie z brzega, że we wsi kwateruje placówka niemiecka złożona z pięciu żołnierzy. Bem z pięciu spieszonymi ułanami otoczył chałupę, w której spali, i wybrał jak raki z więcierza. Niemcy prędzej by się spodziewali śmierci niż Polaków w Odrowążu, na szlaku cofających się niemieckich oddziałów, kiedy ci Polacy „powinni byli" maszerować na lasy przysuskie. Czuli się do tego stopnia poza terenem operacji, że nie tylko nie wystawili wart, ale jeszcze z nimi nocowało dwóch cywilnych niemieckich techników drogowych.

Technicy deklamowali, że są Austriakami, równie uciśnionymi jak Polacy, że tak samo czekają na wyzwolenie spod niemieckiego buta. Hubal, który uprawiał politykę faworyzowania Austriaków i Bawarczyków, powiedział krótko:

— Pójdziecie wolno.

Austriacy z emfazą oświadczyli, że byli pewni ryce-

skości Polaków, którzy przecież walczą wraz z nimi za wspólną sprawę.

Zostawiwszy „sojuszników" swemu losowi, oddział znowu z Odrowąża wsiąkł w noc. A już szło na pierwszy kwiecień i wiatr świeży od gór, na których tajał śnieg, uderzał wilgotną płachtą o twarze.

Szli tak na Suchedniów, śpiesząc, aby na kwaterach znaleźć się na rano. Aż po lewo, gdzie wciąż jeszcze ciągnęły się wierne Góry Świętokrzyskie, biegnące za wojskiem coraz niższymi pagórami (niby matka za synem, który odmaszerował na wojnę, a ona nadąża coraz niesporzej) — objawiły się nagle kontury tych gór w różowiejącym niebie, niby ramiona matki, która już musi zostać i tylko ręce wznosi w niemym błogosławieństwie. Zaraz potem srodze spurpurowiały obłoki i poczęły zmykać z nieba, przestawiać się, robić dzienne porządki, oczyszczać plac. Dopieroż czerwona kula słońca poczęła iść w górę i baczyć pilno, czy aby wszystko jest do recepcji przygotowane. Mały obłoczek, spóźniony z jakiegoś polskiego urlopu, zbierał nogi i szorował, maleńtas, do niebiańskich koszar, aby nadążyć przed apelem. Teraz wyranżerowane anielice poczęły zza lad nadobłocznych wyrzucać postawy seledynów, które pasmami spływały na ziemię — rzekłbyś: dekoratorzy niebiańscy upinają trybunę, na której zasiądzie Pan w majestacie. Słońce, nadzorca srogi, fuknęło promieniem, rzuciło wskazówkę i już seledyny zapłonęły po rantach siedmiu barwami tęczy.

Jasno się zrobiło w rośnej dolinie, którą szli, zbywszy gór. Boćki stały w zielonych prześwitach, baźki muskały ułanów po policzkach, kaczeńce, zawilce najradośniej

Styczeń 1940 r. Fryszerka. Od lewej wachm. Rodziewicz, Marcyna, ppor. Leszczyna, kpt. Pomian, rtm. Walbach, ppor. Sęp i pchor. Barbarycz.

Styczeń 1940 r. Fryszerka. Od lewej ppor. Leszczyna, kpt. Pomian, rtm. Walbach, ppor. Sęp, wachm. Alicki, pchor. Barbarycz.

Od lewej: wachm. Alicki, rtm. Walbach, wachm. Rodziewicz i ppor. Sęp.

wołały do nich, jak coś najswojsze wita w dobry czas, skowronki strzelały w górę i biły pieśnią, od której pękały młode serca żołnierskie z nadmiaru szczęścia, jak pęka kasztan na wiosnę. Cóż bo im? Pobili wczoraj taką siłę, gotowi są choć dziś się zmierzyć ponownie. Major ich prowadzi, a gdzieś z tą wiosną podąża — Sikorski.

Tylko jeden major, jadąc w przodzie, kręcił brodę, nastawił pionową zmarszczkę i zdał się być daleki od tego wiosennego święta.

Szósta była rano, kiedy stanęli, po czterdziestokilometrowym marszu, we wsi Szałasy, odległej o dwadzieścia pięć kilometrów od Kielc. I kiedy Hubal stał w obejściu, igrając pejczem i czekając, aż się rozstawią placówki, podniósł na niebo wzrok. Ustał za nim zgiełk, zamarł wiatr, niebo jaśniało do pół wysokości równym, coraz intensywniejszym ku górze światłem. Światło to krył ciężki obłok, nasiniony przedrannym, nocnym granatem. Spod jego brzegów świecił blask niesamowity, i kiedy całe niebo było uprzątnięte i puste, zdało się, że tu ustawiono tron na wysokościach, że rozedrze się ciemny granat i że umęczone serca ludzkie usłyszą i ujrzą, i wchłoną prawdę, która się objawi i która da żyć.

Z wolna i inni podnieśli głowy i wpatrywali się w zjawisko. Ale granatowy obłok począł się rozłazić, rozpylać się, rzednąć, aż wylazło zza niego znudzone, dobrze już dzienne słońce i poczęło ważnieć jak burgrabia — mistrz ceremonii na uroczystości.

Wyroki Opatrzności są niezbadane. Niezbadane w dziwach, pełniących się na niebie; niezbadane w sercach żołnierskich, z wesołością idących na ofiarę; niezbadane w duszach ludności Szałasów, która znosiła

mleko i jajka i całowała majora po rękach; i niezbadane w krzywdach niezawinionych, na których obliczenie buchalterowie niebiescy mają rachunkowość zakrytą pojęciu ludzkiemu.

Bo oto już na drugi dzień przyszła wieść z Hucisk... z byłych Hucisk, w których zostawili dobre ręce piorące, gotujące, cerujące, ręce błogosławiące krzyżem świętym przy wymarszu... Niemcy ostrzeliwali Huciska przez kilka godzin ogniem artyleryjskim, łapiąc ludzi, którzy uciekali z pożaru. Potem pognali ich do szybów po lasach, eksploatowanych jeszcze za polskich czasów, i wytłukli w nich granatami, nie wyłączając niemowląt i starców.

Tego dnia mdły płomyk świeczki do brzasku mżył w chałupie zajmowanej przez majora, i nikt nie śmiał wejść do samotnego człowieka pasującego się ułomnym rozumem, błądzącym instynktem, palącym sumieniem — z zakrytymi wyrokami.

Jeśli Boże wyroki nierozeznane są i nierychliwe, to te szatańskie są jasne. Drugiego kwietnia o godzinie ósmej wróciły zewsząd rozesłane patrole:

Ten od Kielc meldował duże siły niemieckie, ciągnące na Szałasy.

Ten od Odrowąża — to samo.

Ten od Suchedniowa — to samo.

Hubal zarządza ostre pogotowie i pcha w trzy strony patrole po pięciu.

Po upływie pół godziny patrole wróciły, mając Niemców na pęcinach. Wszystkie trzy patrole były gęsto ostrzelane, wszystkie trzy w odległości po półtora kilometra od Szałasów.

Wszyscy czterej ułani z patrolu Bema zabici lub ciężko ranni zostali na placu; on sam, gdy ranny koń padł pod nim, uciekł w postrzelanym płaszczu; w drodze go ranna klacz dogoniła.

I już po chałupach drzazgi lecą odłupywane przez kaemy niemieckie, bijące ze wszystkich trzech stron. Już z trzech stron Niemcy rozwijają się do akcji.

Ornym polem wypryskuje ze wsi oddział. Kawaleria w przedzie, za nią taborek, za nim piechota.

Z boku uderza silny ogień. Padają ranne dwa konie i jeden ranny ułan. Ale już las o grząskim podszyciu i grobla zeń wiedzie w bagnisko. Zepchnęli się na tej grobli, odsapnęli. Może to i dobrze, że błoto pobocz — boki mają chronione.

Ale już Sęp idący w tylnej straży musi ostrzeliwać się w dwu kierunkach — to zamyka się tuż za lasem pierścień obławy niemieckiej. Pchnęli się więc groblą w głąb i zaraz stanęli, bo posłyszeli, jak własna szpica wdała się w strzelaninę.

Ciasno!...

— Z konia! — rozkazuje major.

Koniowodni zostają, spieszeni ułani biegną gęsiego dwoma brzegami grobli ku szpicy, która nie przestaje się ostrzeliwać.

Niemcy pierzchają, pozostawiając dwu zabitych. Depcząc im po piętach wpadają ułani o tysiąc metrów dalej na krzyżówkę, którą tworzy ich grobla z inną przecinającą. Z tej innej grobli z lewa idzie na krzyżówkę silny ogień broni maszynowej. Opór niemiecki stężał. Snadź stoi przed Hubalczykami silna zapora. Górą nieustanny warkot samolotów niemieckich. Bem na krzyżówce wwiązuje się w walkę, ogień ciągle narasta.

Hubal z nieodłącznymi Romanem i księdzem Muchą już dobiegł niemal do krzyżówki, ale w gęstwie lasu nie widać nic poza gałązkami świerków, które nagle i jakoś tajemniczo się łamią. Ksiądz, oganiając się głową od bzykających kul, jak zwykle boi się strasznie i jak zwykle w takich wypadkach zdradza maksimum inicjatywy:

— Niech pan major się napije — wyciąga półlitrową flaszkę.

— Idź do diabła!...

Ulitował się Roman — wypili z kapelanem.

— Roman — przerywa major te niewczesne praktyki — nawiąż z Bemem.

Roman czołga się ku krzyżówce, gałęzie ścinane kulami sypią mu się na głowę. Dociera do swoich leżących w tak gęstym podszyciu, że nie widzą Niemców odległych o trzydzieści — czterdzieści metrów.

— Niech żyje Polska! — woła Bem.

Nastawili uszu — wiedzą: to awizo.

— Na bagnety! — spada krótki krzyk Bema.

Wypadli na groblę, na której stała porzucona dwukołówka wojskowa, na niej płaszcz, a przy niej trup niemiecki. O osiem metrów dalej opuszczony cekaem niemiecki. To on miał tyle do gadania na tej krzyżówce! Pierzchli Niemcy. Skacząc przez wykroty, drapiąc twarze o gałęzie, skoczyli Hubalczycy za nimi. Krzyki hukają po całym lesie, oddalają się, rozpraszają.

Roman wraca z meldunkiem do Hubala, mija go po drodze Tereska z pistoletem w garści; tej zawsze pilno do każdej bitki.

— Siadaj na konia — mówi frasobliwie Hubal. — Wstrzymaj ich.

Roman dogania ich aż dopiero po jakich ośmiuset

metrach. Ten ogląda zdobyty pistolet, inny majdruje przy niemieckiej torbie. Inni zakładają opatrunki na powierzchowne rany.

Roman spieszy się, przedziera przez las, natyka się na Bema, Sępa i Tereskę, opatrujących rannych.

— Kompania była — dyszy radośnie Bem. — Daliśmy im bobu... Kilkanaście trupów, dwa cekaemy — podnosi do góry skrwawione przy opatrunku rozcapierzone dwa palce.

— Co zamierzasz?

— Wystawiłem ubezpieczenia, zbieram zabitych (czterech) i rannych (czterech).

Dojeżdża Hubal.

— Rozsądnie zrobiłeś — mówi do Bema. — Zjemy obiad.

I Hubalczycy poczynają jeść obiad, podczas kiedy Niemcy opukują ze wszystkich stron, i nasze placówki nie nadążą się ostrzeliwać.

O godzinie czwartej punktualnie milknie niemiecki ogień jak uciął. Fajerant!

Jest coś niesamowitego w tej rozmierzonej flegmie, tak przeciwstawnej naszemu rzucaniu się. Mają czas! Mają nas w worku! Krwawa i ostateczna robota jutro się zrobi nieomylnie z mniejszym ryzykiem, z większą precyzją. A teraz — noc jest do spania i do wypoczynku.

Nierozłączni Roman z Tadkiem i Stulikiem pełzną daleko w głąb w kierunku, w którym pierzchła niemiecka kompania. Klucząc między łaskawymi dzikimi malinami, podołem rozłożystych leszczyn, łochami zwilgłymi pod świerkowymi łapami, ustalają, że oddział jest zamknięty w klinie dwóch szos, na których są okopani Niemcy, tkwią nieruchomo kadłuby pancerek, żół-

cą się leśną próchnicą wybudowane gniazda ciężkich karabinów maszynowych i gęsto krążą pancerne patrole.

Zaiste — już są w niewoli. Jutro tylko pozostaje Niemcom posegregować więźniów i spisać personalia.

Błądząc po tym swoistym obozie koncentracyjnym, opasanym trójkątem obwarowanych szos, trafiają na chałupę w lesie stojącą. Gospodarze informują, że jeszcze przed pół godziną stała u nich chmara Niemców.

Gospodyni chce robić jajecznicę, ale oni biorą tylko kilkanaście surowych jaj i pijąc je żarłocznie, wracają do majora już zupełną ciemnością.

Ale majora już nie ma. Gdzie poszedł? Słychać trzask, ktoś przedziera się przez krzaki. To major przysyła po nich. Jest o trzy kilometry stąd w gajówce i wzywa na kolację.

Próbując iść nie groblą, a na przełaj, brną po ramiona w lodowatej wodzie. Kilka gęsi, komin rozpalony, na którym rozwiesili wyżęte ubrania, godzą ich z losem. Gospodyni daje suche onuce, siedzą goli i odgrzewają się. Hubal nad mapą medytuje sam. Okna zawieszone, patrole rozstawione. W zielonym zegarze co kwadrans ukazuje się kukułka.

Czas wolno idzie w monotonnym tykaniu zegara, bruzda pionowa nie schodzi z czoła majora. Osiem razy wyskakuje kukułka z zielonego zegara, przyjemnie rozbiera ciepło, połknięta gęś, suche onuce, mgiełka chodzi przed oczami siedzących pod kominem ludzi, aż wreszcie Hubal podnosi ku nim wzrok:

— Stwierdzam okrążenie całkowite.

Nabliżyli się ku stołowi pod wątłą lampę. Hubal zabłądził ręką po mapie:

— Groblą nie będziemy się przerywać — dobrze

obstawiona. Ot, którąś z tych ścieżek chłopskich — zamiótł sygnetem — wyjdziemy z górki na wieś, siedzącą okrakiem na szosie.

Jakoż zaraz ruszyli milczącym lasem, stojącym w obramowaniu warkotu pancerek, strzegących trójkąta otaczających szos.

Z górki porosłej lasem, która wisiała nad szosą, było do wsi na szosie około trzysta metrów. Na rozkaz Hubala spieszył się Roman z Kasprzakiem i Jurą i ruszyli ku wsi z wywiadem.

Pierwsze jej obejście było przed szosą. Odsunęli cicho po podmokłej ziemi chłopski kołowrót, wniknęli między czarne chałupy. Nie szczeknął pies, nie załopotał ptak w kurniku, koń żaden nie dźwięknął łańcuchem. Przesunęli przez obejście cieniem ścian i przylgli do wrót na szosę, biegnącą przez wieś. Tyle tam po tych szosach dookoła lasów reflektorów a pancerek, a rontów, a kaemów. A tu — nic... Gwiazdy wysiały się na niebo i mrugają nerwowymi tikami.

Wolniutko odciągnęli wrótnię, trzema widmami przesadzili szosę, w mig uporali się z wrotami obejścia po przeciwnej stronie, już nie hamując się, już na wyprzódki, we wzburzeniu otwarli czwarte wrota — z tamtej strony wsi — ku wolności... Przetrasowali drogę odwrotu! Czyżby — i tym razem — Bóg czuwał nad nimi i niesamowite żołnierskie szczęście?

— Wszystkie cztery wrota otwarte — meldują Hubalowi. — Przejście wolne.

— Nic nie zauważyliście?

— Pies się odezwał z tamtego końca wsi.

— Niemiecki pies — konkluduje Hubal. — Szkopy pilnują wylotu grobli, a my tu...

Ruszył koniem.

— Marsz!...

Major jedzie pierwszy, jak zwykle w takich razach. Roman przy nim. Taborek ośmiu wozów za nimi podnosi skrzyp jak cholera.

Już jest czoło w obejściu, już konie majora i Romana mają wejść na szosę...

Wówczas nagle runęła na nich ławica reflektorów. Jasno zrobiło się jak w dzień i równocześnie z obu stron poszedł silny nieprzyjacielski ogień.

— Romek! Granatami w prawo! — krzyczy major, a sam rzuca granaty w lewo. Bo teraz, kiedy wszystko rzuca się do tyłu, oni są osłoną odwrotu.

Spłoszony koń Tereski stanął dęba, spadła jak kluska na ziemię.

— Romek, pomóż!...

Zemocjonowany Roman zsiada, z taką siłą wrzuca na siodło dziewczynę, że przeleciała na drugą stronę konia, siedzi na ziemi i klnie jak szewc. Roman obiega konia, ładuje ostrożniej, pomykają za majorem. Dojeżdżają taborów, wszystkie konie w nich wybite. Konie w zaprzęgu taczanki z cekaemem również. Bolesna to strata, i major medytuje chwilę.

— Wyjąć zamek, wjeżdżać w las...

Cała kolumna już się zanurzyła w lesie z powrotem, nie ma kogo osłaniać. Major z Romanem i Tereską ostatni wjeżdżają między drzewa. I wówczas, kiedy zatrzymują się, by sprawdzić sytuację, słyszą — grający własny cekaem.

To cekaemiarz Pomsta, godny następca Gruszki i Barbarycza, został przy swojej maszynce. Trzymał Niemców, póki starczyło serii. Potem za późno już było do swoich dobić. Gdy się przemykał, przyłapali go Niemcy w jakiejś chałupie i przytłukli.

Tak zginął Pomsta, robociarz, kapral rezerwy, wysoki chudy chłop o długim ramieniu, którym tak dobrze się posłużył przy miotaniu granatów pod Huciskami.

Cofnęli się pod dawne chałupy, raz jeszcze zamżyli lampę, raz jeszcze Hubal rozmawia z mapą.

— Jest pod tamtą drugą szosą zagaj jak szczotka — mówi chłop gospodarz — do samej szosy dochodzi. Tylko wkraść się a hycnąć.

— Prowadźcie.

Istotnie, zagaj gęsty niesamowicie, ale u jego czarnej ściany stoi nieustający blask reflektorów. Poczuli coś Niemcy, poczęli szyć w zagaj, poszły wzdłuż serie cekaemów, narósł warkot nadjeżdżających z obu stron motorów.

Cofnęli się.

Znów Hubal w mapach.

Prowadzi ich pod dawną szosę jeszcze raz. Idą ochotnie dziwni żołnierze. Przygoda gra w nich jak musujące wino.

Na dawnej szosie spotyka ich ogień. Znów się cofają. Stłoczyli się przed obejściem ponownie, Hubal igra pejczem i opowiada kawały.

— Co mówi, co? — dopytują dalsi. Każdy kawał idzie kręgiem, a wraz z nim fale śmiechu.

A niebo już się przeciera. Moce niebieskie nie wyczyniają na nim żadnych cudów, jak wówczas, gdy odchodzili z rodzonych Gór Świętokrzyskich. W prześwi-

tach, bramowanych szczytami świerków, stoi jaśń surowa i blada. Słońce uciekło, obłoki uciekły, powiedziałbyś — Bóg świat opuścił i na puste niebo wdarł się szatan w warkocie samolotów, które polatują nad samymi czubkami drzew.

Zamróz zaranny przenika pod żołnierskie płaszcze. Ruszyli za majorem rośnym lasem na skrzyżowanie grobli, na wczorajsze miejsce walki Bema.

Cekaemu już nie mieli. Zaryglowali się elkaemami na wszystkie strony.

Po niemieckiej stronie oddziały, pełniące nocną służbę, wracały na kwatery. Oddziały, które ich miały zmienić, już wysuwały się ze smakowitych śpiworów, goliły się, pojadały tłuste polskie jadło i leniwie odbywały apele. Potem rolowali płaszcze, zapaliwszy papierosy czekali, aż dowódcy wrócą z odpraw. Dowódcy na odprawach mieli wiadomości radiem z nieba i z ziemi, mieliby z głębi wody i spod ziemi, gdyby było trzeba, bo za nimi stały miliony wolnych rezerw, sypiące skrami fabryki, przemysł, nauka, organizacja, siła, wyliczenie, plan.

Nie było więc po co ani się śpieszyć, ani nie dospać, ani nie dojadać. Operację poczęli o dziewiątej, kiedy nasze elkaemy zatrzęsły się ogniem, ostrzeliwując się na wszystkie cztery strony świata.

Niemcy rozsądnie się cofnęli. Wszak za czyn ekspiującego Brzozowskiego, za zabicie dwu Niemców, rozstrzelali dwustu Polaków w Aninie. Droga jest krew niemiecka.

Teraz więc samoloty szyją z cekaemów po lesie i na przemiany zrzucają ulotki. Ulotki są pełne uznania dla bohaterstwa Hubalczyków. „Spełniliście swój obowią-

zek, nie możecie nic więcej od siebie wymagać. Poddajcie się, uznajemy was za żołnierzy armii regularnej."

Tak kucharka, kiedy chce schwytać kurę na rosół, zagnawszy ją w winkiel murów, chowa rękę z nożem pod fartuch, a drugą sypie ziarno. Chłop, który się przekradł z Szałasów, opowiada, że rannego kaprala z patrolu Bema Niemcy przyprowadzili do wsi w krwawych szmatach, broczącego z nie opatrzonych ran, boso. Zakopali go w ziemię po głowę, dopiero tę męczeńską głowę bił, kopał, opluwał cały dzień, kto chciał; zmarł dopiero wieczorem, słysząc nie milknącą strzelaninę kolegów na krzyżówce.

O godzinie czwartej po południu — fajerant. Za ciemna może coś rozpaczliwego osaczonym przyjść do głowy — lepiej się cofnąć za oświetlone grzmiące pasy szos. Szosy te zajęły jeszcze inne oddziały — tak mało zwierzyny, tyle rozporządzalnych strzelb, należy reglamentować odstrzał, należy wszystkich po równi dopuścić do emocjonującego, a w gruncie rzeczy bezpiecznego sportu.

Hubal na wszystkie strony wysyła wywiady, złożone z żołnierzy i chłopów. Wszędzie moc Niemców i pierścień reflektorów, i rakiet.

O północy robi daremną próbę przerwania się. Gdzie się oddział zbliży, zrywa się ogień i nabliża się warkot pancerek.

Hubal zbiera pluton piechoty, złazi z konia, wchodzi między nich:

— Przemknąć się nie można bez walki. A jedyna walka to szarża, bo zapewnia szybkie przeskoczenie.

Wy — nie macie koni. Sęp! — do mnie. Masz swój oddział rozproszyć po dwóch z bronią w ręku. Niech po dwóch się przedzierają, tu — wskazał na mapie odcinek szosy. — Szerokość przeskoku nie większa niż, o, taka. Miejsce zbiórki w Górach Świętokrzyskich — podaje gajówkę. — Czekać z przeskokiem do świtu, aż zgasną reflektory. No...

Całuje Sępa. Sęp, dowódca piechoty, z puchem bokobrodów na policzkach, w kożuszku więcej powstańczym niż wojskowym, pasowałby do tych, co tu walczyli w tych lasach w sześćdziesiątym trzecim. Hubal kolejno podaje rękę każdemu piechurowi. Ujmują tę rękę w swoje pokancerowane dłonie nabożnie, jakby w nie kto wkładał coś bezcennego. Jest cicho, rzekłbyś: ksiądz przesuwa się wzdłuż szeregu klęczącego, rozdając komunikanty. Tylko z boku trzasła gałązka — to Sęp odprowadza swego wierzchowca, oddając go konnemu oddziałowi.

Dotąd oddział ponawiał próby przedarcia się w miejscach, gdzie las najbliżej przytyka do szosy, kędy najłatwiej przeskoczyć. W tych miejscach Niemcy skoncentrowali całą uwagę. Obecnie Hubal wybrał odcinek lasu rzadki, wyłysiony, który urywał się już na trzysta metrów przed szosą Kielce—Odrowąż.

Czekali szarówki, aż ustał nieznośny pierścień blasku dokoła leśnego kompleksu. Cicho między drzewami przesuwało się trzydziestu jeźdźców łysinami śniegu, zalegającymi pod wielkimi świerkami. Hubal, jak zwykle — w przedzie, przy nim, trzymając się ręką siodła — chłop przewodnik.

Już zaszarzeli ciężką frędzlą na linii ostatnich drzew.

— Pistolety w garść! Granaty! — podaje Hubal szeptem.

— Pistolety w garść! Granaty! — podaje szeptem jeden drugiemu.

Poprawili się w siodłach. Całe ich istnienie zbiegło się w oczach i w prawych rękach. Nikt nie wierzył, że przejdą. Przecież mieli za sobą cztery nieudane próby.

Padł niemiecki strzał i zaraz poszedł ogień ciężkich karabinów w las na wprost, w las na wskos, szosą, na poprzek.

— Za mną galopem — marsz! — woła pełną piersią Hubal. Przewodnik odkleja się od siodła i wielkimi susami sadzi wstecz, Hubal, za nim Tereska — piorunem idą ku szosie. W rowku przed szosą — gniazdo cekaemu. Hubal wali w nie granatem, koń w blasku wybuchu wspina się i daje szczupaka przez głęboki rów na szosę. Przy skoku przez następny rów wali się kobyła Bema, wali się przez nią koń Romana z jeźdźcem, na skłębione na ziemi konie wpada Lech, ale jego świetnie naskakany półanglik Emir, dar Szwejcerówny, przenosi jak przez „fortepian" na konkursach hipicznych. Cień któregoś przelatującego ułana podchwytuje na siodło Bema. Roman, z pistoletem w garści, biegnie za swoim wierzchowcem, który poderwał się i wyrywa za innymi. Widzi — rozpartej szkapie księdza idzie jucha ze łba. Wskakuje, ale szkapa po dziesięciu krokach pada. Niemcy już biegną za nim. Przypomniał tego umęczonego w Szałasach, strzela do Niemców, podnosi pistolet do czoła. „Stój!" — huczy nad nim i już w tejże chwili równa się, przelatuje koło niego Lis, odstawiając strzemię. Roman wskakuje, rzuca granat w tył, już ich kryją drzewa. Lis urywanymi słowami mówi, że zawrócił po trzech ułanów, którzy zdarli konie i po-

gnali za przewodnikiem. Stąd się spóźnił (ci trzej, otoczeni przez Niemców, zginęli w walce).

O czterysta metrów za szosą doganiają czekający oddział. Prócz trzech, którzy zawrócili i zginęli, nie ma jeszcze jednego i nigdy nie dowiedzieli się, jaki los go spotkał.

Uzupełniają konie — jest wierzchowiec Sępa i kilka luzaków. Ksiądz, dobierając sobie nowego konia, opowiada z podnieceniem, jak kula niemiecka trafiła go „w samą lufę", jak zabito pod nim konia.

— Niech no ksiądz pokaże swego Wisa — mówi Roman, który zdążył dostrzelić księdzowego wierzchowca.

W Wisie — wystrzelany cały magazynek. Dzielny katabas, który wszędzie się pchał, odchodząc równocześnie ze strachu od przytomności, cwałując z odbezpieczonym Wisem, przy każdym szarpnięciu skaczącego przez rowy i przeszkody konia naciskał cyngiel i wygarniał biednej szkapie w łeb.

Już zdrowy śmiech buchnął, już znowu — wolność przed nimi; jeszcze raz zakpili z Niemców, są niepokonani, oni — Hubalczycy...

Składnie dojechali do najbliższej gajówki. Jeszcze jeden koń okazał się ranny. Znalazłszy w obejściu pięknego ogiera, kazał major Teresce wypłacić pięć tysięcy złotych i ruszyli dalej.

Jadą cztery kilometry otwartą przestrzenią, aż wreszcie widzą w szczerym polu samotny zagajnik w bagnisku.

— W nim będziemy stać do wieczora — mówi Hubal.

Spojrzeli po sobie — przecież Niemcy, zarządziwszy pościg, niewątpliwie przetrząsną ten zagajnik.

Wprowadzili konie w gąszcz, rozpuścili popręgi, wystawili ubezpieczenia na wszystkie strony.

Tymczasem z kierunku, z którego przyszli, idzie nieustający huk. To Niemcy, oblegając Hubala dwa dni bezskutecznie, nie mając zamiaru forsować stanowisk leśnych, sprowadzili dużą ilość dział i grzmocą po lesie. Jak okazało się potem, myśleli, że tylko patrol się przerwał, sądzili, że owe całe „sześć tysięcy" wciąż siedzi w lesie, i kruszyli las na miazgę.

Na płaszczyźnie ukazały się liczne patrole niemieckie, snujące się w różnych kierunkach. Niektóre z nich przesuwały się drogą odległą o kilkadziesiąt metrów. Ułani założyli koniom karmniki na pyski, aby snadź który nie zarżał, i narychtowali elkaemy. Ale Niemcom niepilno było zbaczać z drogi. Czekali wciąż na owe „sześć tysięcy". A może woleli postąpić tak roztropnie jak ów bankier, który, rozwścieczony, szukając kochanka żony, znalazł go w jednej z szaf... z pistoletem w garści. „I tu go nie ma" — pośpiesznie obwieścił, zamykając szafę.

Samoloty się snują a wypatrują — trzeba się powszywać jak kuropatwy. Jeść nie ma co.

Wraz z ciemnością — ruszyli w nieznane. Rozumieją, że gdziekolwiek by poszli — znowu się zaciśnie obroża. Nie ma już takiego cypelka w Polsce, gdzie by mogli egzystować.

Zostawili Kielce na lewo, posunęli się na Włoszczowę. Właściwie mogli z równym powodzeniem zostawić Kielce na prawo, iść na północ, na południe, na wschód czy zachód.

Pod Wągrowcem zaczerniała leśniczówka, major przerzucił nogę przez siodło:

— Nasermater! wszędzie obławy; tu robimy państwo na dwa dni.

„TRĘDOWACI"

Stanęło więc ubogie państwo dwudziestu czterech nie chcących złożyć broni. O piechocie Sępa nie ma wieści. Stanęło więc ubogie państwo, obstawione nawet placówkami.

Tu doszły ich, niby noty sąsiedniej potencji — odezwy landrata do żołnierzy oddziału majora Hubala. Landrat chwalił i narzekał, obiecywał i groził.

Tu przybiegły zdyszane wieści, wieści żałobne, stwierdzające, że grozi nie na próżno. Szałasy, tak jak Huciska, zniszczyła ekspedycja karna. Wszędzie, gdzie się oddział przesunął, wszędzie, gdzie zaczerpnął wody ze studni, szli w ślad oprawcy. Chcieli być wiosną dla tej ziemi, stali się zwiastunem nieszczęść. „A kędy tylko krwawą chustą skinie..." Tak, to oni, „Wydzielony Oddział Kawalerii".

„Wydzielony Oddział?" Nie, oddział zbuntowany, zbuntowany przeciw prawowitej władzy, przeciw żywym symbolom Rzeczypospolitej.

Hubal jest blady śmiertelnie, zmarszczka pionowa nie schodzi mu z czoła.

Wtedy właśnie, wtedy, w te dni już ponad wytrzymanie, w dni zapadania się wszelkich nadziei, w ten dwieście dziewiętnasty dzień ich wojowania wpada

wiadomość o Narwiku. Błysnęła i znikła, wypaliwszy ognisty ślad w duszy, że gdzieś tam regularny żołnierz polski potyka się i walczy.

Ale Narwik był jakby światło latarni morskiej, które zapaliło się zbyt późno i zbyt daleko. Oddział w ręku dowódcy jest jak koń w ręku jeźdźca. I wówczas, kiedy majora przygięły wieści o masakrach niemieckich, w tej leśniczówce pod Wągrowcem po raz pierwszy pomiędzy żołnierzy, którzy otoczeni w lesie zaśmiewali się z kawałów dowódcy, wśliznął się — strach. Nadleciał, jak nadlatuje na złocące się w polu zboże wiatr, idący przed chmurą gradową.

Ksiądz Mucha, który musiał przez tyle potyczek, przez tyle niebezpieczeństw stłumiać obłędny strach, idąc zawsze na czele, okazało się, że przesilił ducha, który starał się nieść w ciele zbyt kruchym i trwożliwym. Tuląc się w kącie, zgięty w pół, rzuca obłędnym wzrokiem:

— C-i-i-c-h-o!... Idą już... Idą!...

Biedny Filipin, miotany sprzecznym uczuciem uwielbienia dla tych krwawych centaurów z rżeniem końskim miotających granaty i równocześnie serdecznej troski, że czeka ich smoła i ogień wieczysty. Biedny, bohaterski, z duszą dziecka gotową do uwielbienia, z duszą świętego otwartą na dobro, nic nie wiedzący o świecie i sprawach jego, praktykujący ten świat od razu i bez przygotowania w atmosferze mordu, tłustego słowa żołnierskiego, kart, wódki i nieustannego łamania piątego przykazania, a wraz z nim wszystkich innych dziewięciu.

Bóg mu za tych bezbożników serdecznie kochanych nie dał ekspiować ofiarą najwyższą — śmiercią na polu chwały, na które przynosił Ciało i Krew tego Boga

wiecznie żywego. Stokroć przyszło cięższą napytać pokutę młodemu mnichowi ze Studziannej: siedział oto teraz w kącie i drżał, miotając obłędne słowa. Nie można już rzucić tłustym żartem, nie ma już księdza Muchy, duch jego już gdzieś błądzi zdając niewiadomy rachunek; ta żałosna reszta, co się trzęsie w kącie, to sam nazbierany, skondensowany strach, który został.

I nagle zrozumieli, jak im brak księdza w tym opuszczeniu i niedoli, jak im brak mszy po chałupach na postojach. Choćby tam na nie i nie szli, choć major pędził srodze na te praktyki, których wymaga regulamin armii polskiej, a więc i „Wydzielonego Oddziału Kawalerii" — dobrze było czuć, że obok odbywa się to, co trzeba, to, co odbywało się w powietrzu, przesyconym wspomnieniem matki, domu, dzieciństwa, wzdychań do dziewcząt na sumie, pierwszych dziecięcych kajań i pierwszych dziecięcych wzruszeń.

A tu nagle, kiedy tyle razy nabliżało się do nich nocne niebo, nabite gwiazdami, kiedy tyle razy śmierć przechodziła obok, ginęli najbliżsi koledzy, kiedy już ich opuściła i ta słaba podziemna Polska, kiedy usunęła się i ta jedyna opora, której trzymał się „Wydzielony Oddział", kiedy zostawiali za sobą trupki dziecinne i mordowane kobiety, kiedy dowódca zajadł się w sobie i zmierzchł, cóż zostawało im prócz własnego sumienia, z którym nie nauczeni byli inaczej gadać, jak przez konfesjonał? Przyjdzie ślepa niedziela, nie uniesie się w górę złocista monstrancja, nie zabłyśnie ornat, niby nic, niby w spokojny czas, niby łamacz fal, za którym choć na chwilę nabożeństwa człowiek jest jak łódeczka wątła na cichej wodzie portu.

I wówczas — zjawił się następca księdza Muchy. Ksiądz Ptaszyński, ów, którego ongiś major uczył zaostrzać granaty.

Ksiądz zjawił się w mundurze, w pasie obwieszonym granatami i zameldował się, jak się patrzy, do oddziału.

Biskup sandomierski, ksiądz Lorek, nadesłał list pasterski dla odczytania wiernym. Ksiądz czytał z ambony list, jakoby kolbę kukurydzy obierał. Ściągając, paździerz po paździerzu, bogobojne słowa, rytualne teologiczne zwroty — ukazał z nagła żółtą twardość ziaren-słów. Ustawione rzędami, nad którymi tu i ówdzie jeszcze polatywało pobożne westchnienie, namawiały owieczki na roboty do Niemiec.

Przez parę pokoleń trwała w Polsce pamięć księdza Piotrowicza w Wilnie, który ukazał się na ambonie z zapaloną świecą, odczytał list pasterski renegata biskupa Żylińskiego o wprowadzeniu dodatkowych nabożeństw w języku rosyjskim, po czym ukaz spalił i pojechał na Syberię.

Dobre, poczciwe czasy XIX wieku, kiedy dobroduszny poczciwiec Murawiew, okrzyczany za wieszatiela, w gruncie rzeczy z wielkimi termediami powiesił czterdzieści osiem osób.

Ksiądz Ptaszyński, rąbiąc twardym głosem po odczytaniu listu: „A ja wam mówię, parafianie moi, że biskup jest zdrajca", wiedział o praktykach katowskich gestapo.

Jakoż od tego czasu nikt nie uświadczył go w dzień na plebanii. W umówione, znienacka wybrane dni odprawiał nabożeństwo w kościele obstawionym czujkami. Były to czasy, kiedy dookoła szumiało od przesadzonych wieści o Hubalczykach, i Niemcy nie jeździli po nocach. Mając za plebanią las, nauczywszy się u ma-

jora miotania granatów, ksiądz Ptaszyński nocował, jak Bóg przykazał, na swojej plebanii, z przekornością trwając na własnych śmieciach. Niemcy kilkakrotnie zajeżdżali po niego w dzień, rozumiał, że sięgną po niego nocą; garnirował więc co wieczór parapet okienny granatami, jak zwykła gospodyni wykładać pomidory, by dociągnęły w słońcu.

W dzień, kiedy w lasach pod Szałasami oblegli Niemcy oddział, szarówką jeszcze stanęły przed plebanią trzy samochody niemieckie, z których wysiadła gromadka Niemców. Ksiądz patrzył na to wysiadanie spod firanki żarzącym wzrokiem, a kiedy skłębili się przy furtce, wchodząc na ścieżkę, rzucił trzy granaty, zrobił miazgę, lege artis wyładował w to jeszcze cały magazynek i tyłem plebanii uciekł w las.

Pięćdziesięcioletni teolog z ukończonymi studiami w Rzymie ukląkł wysokim kościstym ciałem, wyciąga spod munduru ogromny krzyż.

— Ależ to taki niemal jak ten, na którym ukrzyżowali Chrystusa! — śmieje się Hubal, pokrywając lekkie zmieszanie. Co też ten klecha tu wyczynia?

Ale ksiądz Ptaszyński wie, że wstępujący do oddziału składa przysięgę, i ksiądz Ptaszyński od dziś chce być żołnierzem „Wydzielonego Oddziału Kawalerii".

— Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu — podnosi spod krzaczastych brwi wzrok z zapadłych oczodołów i kontynuuje stereotypową przysięgę żołnierską na wierność Bogu, honorowi, ojczyźnie i prezydentowi.

Zebrani stoją na baczność, księdzu ceglaste rumieńce wybiegają na policzki, temperament pasjonata poczyna grać, a dziecinną duszę ponosi improwizacja jak Orcia w „Nieboskiej komedii".

„...a jak wejdziemy do Sandomierza — głos klęczącego podnosi się, słowa przysięgającego poczynają biec szybko — to na rynku publicznie dam biskupowi dwadzieścia pięć w gołą dupę..."

Nagle ksiądz uświadamia sobie, w jak straszliwe obieże wniósł go temperament, wkładając plugawe słowo, bezbożny czyn w solenną przysięgę; załamuje się, bije się w piersi, robi się robak pokorny; ale nie rewokuje:

„...a potem — słyszą zebrani pokorny szept wśród walenia się pokutnego w pierś — pójdę do klasztoru na pokutę... Będę nosił włosiennicę... całe życie..."

— Zostań — podniósł go z klęczek Hubal i ucałował — będziemy razem biedę klepać.

Do Warszawy doszedł nie tylko raport pułkownika Millera. Doszedł jęk wyrzynanych przez Niemców wiosek.

W tymże dniu, kiedy przysięgał ksiądz Ptaszyński, zameldował się majorowi rotmistrz z Komendy Okręgowej w Kielcach.

Major znał rotmistrza jeszcze z dawnej pospólnej służby. Ale że komendy kieleckiej nie cierpiał, więc burknął tylko:

— Co?...

Rotmistrz wyprężył się:

— Rozkaz z Komendy Głównej, z Warszawy.

Hubal drgnął. A może... kiedy pod Narwikiem się zaczęło... Wiosna... Może po zwycięstwie pod Huciskami ręka do zgody... przecie tylko on... ręka, co wesprze... dowództwo, co zdejmie straszliwą odpowie-

działność... Boże, takie oparcie dać zmaltretowanym żołnierzom!

— Idą już... cicho... Idą już... — woła przejmującym szeptem z przyległej izby ksiądz Mucha.

Szarpnął się Hubal:

— Dawaj...

Czyta. Blednie. Gniecie papier i rzuca go adiutantowi. Odwrócił się do ściany. Milczy. Cisza.

Adiutant Dołęga przebiega wzrokiem pognieciony papier. Komendant główny Grabiec każe natychmiast rozformować oddział. Grozi sądem polowym.

Hubal odwraca się ku rotmistrzowi z twarzą ściągniętą wściekłością:

— Ty... śmiałeś... taki rozkaz mi przywieźć?

Rotmistrz prostuje się jeszcze bardziej. Rozumie — śmierć.

— Pan rotmistrz przejdzie do sąsiedniej izby. Postawić przy nim wartę. Zawołać księdza. Wszyscy wyjść.

Ksiądz Ptaszyński, który już założył trzy gwiazdki i przybrał pseudonim Leliwa, śpiesznie nadbiega.

— Jakiś rozbrojony gówniarz!... — wybucha Hubal, krążąc po izbie. — Do mnie — taki rozkaz! Mundur mi chce zdjąć? Ja ten mundur od szesnastego roku życia noszę bez przerwy. Złożyliśmy przysięgę, mamy prawo mundur nosić... Nawet Naczelny Wódz nie ma prawa mi go zakazać bez sądu. Nie było rozkazu demobilizacji... Mam prawo takie samo do munduru jak ci pod Narwikiem... Mnie pod sąd polowy? To ja...

Spłoszony ksiądz zatrzasnął drzwi do drugiej izby. Długo za drzwiami gotowały się dwa głosy. Najprzód przeważał wzburzony głos majora, potem, coraz dłuższy okresami, głos księdza.

— Maszynę! — krzyknął przez drzwi Hubal. Adiutant wszedł z maszyną do pisania.

Hubal podyktował:

m. p. 6 kwietnia 1940 roku

Oddział Wydzielony
Kawalerii Wojsk Polskich
w Górach Świętokrzyskich

Do Pana Grabca

Żadnych Grabców nie znam i znać nie chcę. Rozkazy takowe mam w dupie i na przyszłość przyjmować nie będę.

Dowódca Oddziału Wydzielonego
Major Hubal

Zalakował. Wezwał rotmistrza:

— Tobie już niewiele brakowało. Jeżeli jeszcze raz pokażesz się z takim listem — rozstrzelam.

I tejże nocy — wymarsz.

W jakim kierunku?

Kierunku — nie było. Wszędzie teren nasilony niemieckim wojskiem. I wszędzie wsie, które będą palone.

Hubal przed przyjazdem rotmistrza z tym rozkazem Komendy Naczelnej chciał podać się w Miechowskie — to już było DOK, na czele którego stał Bór-Komorowski. Miał nadzieję z nim się dogadać, mimo anatemy rzuconej za pośrednictwem pułkownika Millera. Ale teraz — zrozumiał: jest sam, będzie już — do końca — sam.

W Miechowskie więc nie poszli, był to bowiem kraj mniej zalesiony. Chcieli pójść ku lasom spalskim, ale te pięknie zagospodarowane lasy porżnięte były przesiekami, na których Niemcom łatwo strażować. Szli więc na bardziej dzikie lasy kozienickie.

Szli ostrym kłusem bardzo ciemną nocą. Po chałupinach samotnych budzona ludność informuje, że wszędzie są Niemcy. Nie można już jechać przez wieś. Ludzie są zdrętwiali, boją się, należy batożkiem wystraszyć z chałupy chłopa na przewodnika, którego na zapasowym koniu prowadzi luzak majora za wodze.

Nie można przejeżdżać przez wsie, nie można przejeżdżać szosy. Hubal w grubym kożuchu, jak zwykle w takich wypadkach, jedzie pierwszy. Podjeżdżają do szosy, przewodnik drży:

— Obsadzona, panie majorze.

— Pistolety w garść — podaje szeptem Hubal.

Zaraz skoczą. Brzeg lasu tuż.

Przedwcześnie, o czterdzieści metrów od szosy, wypalił któremuś odbezpieczony pistolet.

— Galopem marsz! — krzyczy pełnym gardłem Hubal.

— Halt! halt!... — krzyczą Niemcy.

Gęsta strzelanina.

Hubal pierwszy, Roman i Alicki za nim, Świda zamyka. Przelecieli. Wstał za nimi blask rakiet. Przeliczyli się. Są wszyscy! Wraz z księdzem Ptaszyńskim dwudziestu pięciu! Przewodnik chlipie.

Kłus!... Kłus!...

Ku świtowi są już w lasach włoszczowskich, w zapadłej gajówce. Tu trzeba pożegnać się z wiernym towarzyszem, księdzem Muchą. Hubal wysyła go z listem do znajomego majątku. Ksiądz Mucha siedzi na wozie

obok niespokojnego gajowego. Włos mu się zmierzwił. Rzuca spojrzenia:

— Idą już!... Idą...

Tereska ze szlochem ucieka do chałupy. Płacz przeradza się w histerię. Niezaradny ksiądz Mucha był pupilem tej dzielnej dziewczyny. Hubal daje Teresce silną dawkę na sen — śpi ciężkim snem do wieczora.

Okazuje się, że w drodze w nocy prysnął z oddziału Jura, ów zawodowy podoficer, zdegradowany przed wojną za próbę gwałtu. Nadzwyczaj dzielny, o narowach bandyckich, pociągnął za sobą Rocha Kowalskiego oddziału, głupiego, wielkiego Stulika, oraz luzaka majora, starszego ułana Maruszewskiego.

A więc — po tylu próbach, po tylu przejściach — oddział, teraz dopiero, poczyna się załamywać.

Przez noc idą śpiesznym marszem na Przedbórz, Sulejów. Znów lasy spalskie. Tu kiedyś były ich najpiękniejsze dni. Tu, zbrojno i szumnie, odwiedzali kościoły. Tu sprawiali pasterkę, tu — czekali wiosny.

Przyszła ta wiosna — gorzka wiosna.

Już nie śmieją się nikomu pokazać na oczy, bo ujrzeć ich, to znaczy widzieć śmierć. Wyminąwszy Inowłódz, zapadają w las koło Koziej Wólki.

Powiódł Hubal wzrokiem po rośnej, nieprzytulnej polanie, na którą mżył bladym światłem świt. Skinął na żołnierzy, a kiedy go otoczyli:

— Tu zostajemy.

Powiódł okiem po sczerniałych, wychudłych twarzach:

— Tak, tu zostajemy. Gdzie pójdziemy? Do ludzi? Na śmierć ich wydawać? Jak w Gałkach? Jak w Huciskach? Jak w Szałasach?

Wyrzucił na nich gorzką tyradę miejscowości — No-

wocie, Nieborów, Wilkoń, Krasny Bór — spalonych po przejściu oddziału. Tak. Tu zostaną. Nie będą błyskać tej Polsce mundurami. Odpoczną dwa, trzy tygodnie i pójdą do Francji.

Przywarli tedy pod budami ze świerkowych łapek — rzekłbyś: obozowisko trędowatych. Niemcy wnet odczuli nakaz unikania starć — nałażą coraz bezpieczniej, zalewają teren dokoła wojskiem, zasypują wsie odezwami.

Hubal rwie się, by się połączyć z piechotą, ale piechota, według rozkazu, w Górach Świętokrzyskich, a Góry Świętokrzyskie obsadzone i lasy spalskie, w których zapadł Hubal — obsadzone.

Jest ich tu teraz, wraz z Tereską i po dezercji Jury, Maruszewskiego i Stulika — dwudziestu dwóch. Niewiela z tym pocznie... Iluż zachował Sęp?

Nieoceniona Tereska wyprawia się w Góry Świętokrzyskie na rowerze. Dziewczyna po cywilnemu wszędzie wsiąknie.

Niezależnie od niej wysyła Hubal do Sępa dwu zaufanych cywilów.

Po kilku dniach wraca kolejno cała trójka. Nikt z nich do piechoty nie dotarł. Nawet Tereska, trzy razy zatrzymywana, raz już prowadzona na rozstrzelanie.

Wszyscy troje słyszeli terkot cekaemów, dudnienie artylerii, nieustanny warkot samolotów. Ciasno opasany jest Sęp! Dowiedzieli się, że przy przemykaniu się spod Szałasów poległo jego dwunastu żołnierzy, że z dwudziestu ośmioma dotarł do Gór Świętokrzyskich i walczy.

Hubal porywa się — iść na pomoc. Ksiądz Ptaszyński jednak to nie zastrachany ksiądz Mucha.

— Chce pan major w dalszym ciągu zalewać kraj

krwią? — świdruje Hubala wzrokiem spod krzaczastych brwi. Nie można mu powiedzieć: „Nie twoja sprawa, katabasie". Nie można mu kazać milczeć. Ani swemu sumieniu.

Uciekł i drugi luzak majora — Kasprzak.

Dochodzą wieści, że Jura po okolicy werbuje, niby do Hubalczyków. Z pewnością formuje bandę. Nasze patrole, mające bliski zasięg, nie mogą na niego natrafić. Aż przychodzi wieść, że Jura ma w Studziannej dziewczynę.

Roman, Lis, Brejer, Kagankiewicz wybierają się do Studziannej po cywilnemu, wozem.

Ciemno było, kiedy zajechali przed chałupę. Na skrzyp wozu wyszły dwie postacie.

— Już przywieźliście? — poznali głos Jury.

— Tak — mówi Roman — podnieś no łapki...

Tamci dobrze wiedzą, czym pachnie odmowa; podnieśli.

— W tył zwrot — komenderuje Roman; Lis i Kagankiewicz ich obmacują, szukając broni.

— Panie wachmistrzu — prosi Jura. — Niech mnie pan wachmistrz wypuści; pan major mnie rozstrzela.

— Milcz, złodzieju.

Roman zwraca się do tego drugiego. Jura uderza po pistoletach Lisa i Kagankiewicza i daje nura pod brzuch koński. Lis zdążył raz strzelić. Roman kolbą zdzielił Jurowego koleżkę, skoczył za Jurą, potknął się, z kolana strzela dziewięć razy. Światła gasną (potem okazało się, że policja niemiecka na odgłos strzelaniny uciekła ze Studziannej). Lis i Kagankiewicz pędzą za Jurą, strzelając w ciemność. Roman wwala tego drugiego na wóz i czeka.

Potem już okazało się, że Jura otrzymał tej nocy sie-

dem lekkich postrzałów. Wszył się w krzaki pod cmentarzem i osłabł z upływu krwi. Z rankiem chłop go zawiózł do szpitala w Opocznie, gdzie się podał za Hubalczyka. Ale już nad szpitalem był ostry niemiecki nadzór, izolowali go pod strażą. Mimo to potrafił nocą z pierwszego piętra wyskoczyć i uciec.

Przysłał do Hubala list: nie jest godzien wrócić, ale przyrzeka, że na własną rękę będzie gniótł Niemców, tylko z nich żyć, a nie z ludności.

Kiedyś przyjechało po niego rowerami gestapo, w chwili gdy się golił.

— Gdzie Jura?

— Który?

— Bolesław.

— A, to w tamtej chałupie.

Poszli do sąsiedniej chałupy, a on na ich własnym rowerze uciekł.

Następnie — uciekł z więzienia w Radomiu.

Wreszcie — co już stanowiło rzadko spotykany rekord — uciekł z Oświęcimia.

Tęgi był nabój energii w Hubalczykach.

Kasprzaka też pojmali.

— Pamiętasz, com wam zapowiedział w Gałkach? — pytał Hubal.

Kasprzak płacze.

— W pysk tobie nie dam — mówi Hubal — ręki nie chcę brudzić. — I z nagła litość go widać zdjęła na widok tego luzaka, zawsze chętnego, zawsze wiernego. Jakiejże to miary wymagania stawia tym ludziom, którzy mu zawierzyli, którzy walczyli wraz z nim aż do

kresu możliwości? Czy ci, co z nim nie poszli od razu, byli lepsi? I skądże on tu będzie sędzią?

— Dać mu dwadzieścia pięć — machnął ręką.

Kasprzak, zbolały, odchodzi z wolna po egzekucji w głąb lasu. Idzie przesieką, widzą, że zwalnia. Staje. Myśli. Idzie z ociąganiem z powrotem. Hubal nastawił swoją pionową zmarszczkę. Kasprzak doszedł, klęka, po chłopsku obejmuje nogi Hubala, całuje buty. Nie chce ciepła, nie chce wygody, nie chce bezpieczeństwa. Chce ginąć z nimi... Byle pan major przyjął...

Ale Hubal się nie zgodził.

I Stulika ujęli. Ogromnie głupie chłopisko, uczestnik tylu niebezpiecznych patroli, tylu potyczek, stanął przed Hubalem. Nikt tam do niego w oddziale złości nie miał. Ale major mu nie mógł darować, że zabrał broń. I ten otrzymał dwadzieścia pięć i odszedł nie bardzo rozumiejąc, co się stało.

Nic z tego. Zachód się nie ruszy, Niemcy biorą inicjatywę. Ułani mający nocną służbę widzą, że do świtu major nie sypia. Wiele pali, dużo pije, zamyka się z księdzem.

Nagle — rozświetliło się na polanie trędowatych. Przyjechały kurierki: Ludka i Genia.

— Jak to, przecież już nam nie można pomagać?

Dziewczyny śmieją się srebrzyście i zaraz od tego śmiechu raźniej i wesoło się robi na polanie. One tam nic nie wiedzą. To, co przywożą, to jest od „młodej Warszawy".

Niech tam będzie od kogo chce, skoro już wyładowują z wozu gazety, smakołyki, amunicję pistoletową.

Lubili te dziewczyny, studentki WSH, całym sercem.

Genię potem rozstrzelali Niemcy w Białymstoku, gdy jako kurierka jechała do Wilna.

Lubili te dziewczęta. Wiele im pomagały — do końca. I po śmierci Hubala...

I Hubal je lubi. Siedzą w jego szałasie na tapczanie z mchu. Wieczór zapadł i ciemny las szumi. Kuchenna lampka stoi na drewnianej pace. Przy lampce gąsior samogonu z miodem.

— Ile lat macie, dziewuchy?

Okazuje się — mało.

— Taak... — pociąga Hubal samogon — a ja... 1897 rocznik.

Po prawdzie to już kawał życia żył. Gdzie powiedziane, że należy żyć więcej? Człowiekowi nigdy nie dosyć... Taki był jak one, albo i młodszy, kiedy szedł do legionów. Miał szesnaście lat. Po sumie w Niegardowie, po przyjęciu komunii, ukląkł, podał szablę księdzu. Staruszek ksiądz, który go uczył katechizmu, błogosławił tę szablę i wezwał wiernych do zmówienia litanii na jego intencję.

Cóż, pewno szła za nim ta litania i te intencje, czepiała się go jak babie lato, coraz niklejsze...

Po buncie pod Rarańczą, uwięziony w Huszt, ucieka w gorączce trzydziestu dziewięciu stopni, pod strzałami wartowników. Maszynista go przemyca jako palacza. Potem na piechotę... Ziemianin Dunin przechowuje go na strychu... Podleczył nogi — poszedł...

Otrzymuje Virtuti Militari. O, ten — pokazuje krzyż na szorstkiej wełnie. To tylko odznaczenie zawsze nosi. *

---

* Miał też cztery Krzyże Walecznych. Był przedstawiony do Virtuti Militari IV klasy.

A potem — nudny czas garnizonów. Mówili, że się nie nadaje do wojska w czasie pokoju. Ileż tych garnizonów, ile kątów Polski...

Naprzód — z 2 Ułańskiego Legionowego sformowany — 2 Szwoleżerski Rokitniański.

A potem kolejno:

18 Pułk Ułanów Pomorskich. Grudziądz. Zatarcia z praworządnymi Pomorzanami, ścinanie nowo posadzonych drzewek w parku, zatargi z prezydentem miasta, Poszwińskim.

Więc za tym — 20 Pułk Ułanów w Rzeszowie.

Więc za tym — 2 Pułk Strzelców Konnych w Hrubieszowie, 4 Pułk Ułanów Zaniemeńskich w Wilnie... Nuda... Zdechłby, gdyby nie te konkursy hipiczne...

Uśmiechnął się do wspomnień. Kusa lampka kopcić poczęła. Hubal przechylił się przez stół, by zdjąć zaczernione szkiełko. Ogniwko przy krzyżu pękło, srebrne Virtuti, spadając, stuknęło głucho o skrzynię jak o wieko trumny.

— To już... znak. Za parę dni mnie diabli wezmą.

— Ależ...

— Idźcie, kozy, spać. Za starym oficer. Wiem, co mówię.

Kiedy wychodziły, spłoszone, już cały niemal kominek lampy był pokryty czarnym nalotem. W szałasie stał swąd kopciu, samogonu i beznadziei.

Tejże nocy pełniący służbę Roman z troską widzi w czarnym wnętrzu szałasu nieustannie żarzący się ognik papierosa.

— Romku, to ty? — pyta major. — Chodź, siadaj.

I znowu — o dzieciństwie w Proszowskiem. O jasnej,

spokojnej Polsce, pachnącej podorywkami, sianokosami, mieniącej się najprzód walkami, potem nieskończonym sznurem koni, kobiecym uśmiechem...

— Ot, dziś gadamy, a za parę dni długie białe robaki będą mnie toczyły.

Poderwał się Roman:

— Niech pan major głupstw nie mówi. Pójdę.

— Siadaj, stary durniu. Ja umrę, ale i ty wtedy nie masz prawa żyć...

I znowu — o wsiach palonych... O ludziach mordowanych — przez niego... Palce rąk bezsilnie i kurczowo zaciskają się koło gałęzi barłogu.

Za dnia białego — stara się być spokojny. Wszak jest dowódcą.

— Gdybym przeżył — mówi do ułanów — gdybym przeżył, co się nie stanie, gdybym przeżył... nim będzie Polska niepodległa, zostanie nas jeszcze mniej. Wtedy będziemy niepotrzebni. Jak się pozbieram, to starczy na przejazd nas wszystkich do Afryki. Będziemy tam wypoczywać.

Nie nęciła go ta Polska, która znów obrośnie garnizonami. Nie przypuszczał, że ta Polska czymkolwiek zapłaci.

A oni — te młodziki — po prostu myśleli, że ich major z bronią w ręku do Francji wyprowadzi.

ŚMIERĆ HUBALA

Dwudziestego szóstego kwietnia zjawia się w obozie trędowatych... komendant policji ze Studziannej, ten sam, na którego ongiś wyprawił się Roman w obronie spalskich kłusowników.

W mundurze, z pasem, przy rewolwerze — melduje się służbowo pod szałas z gałęzi świerkowych.

— Może mi pan major nie wierzyć... mieliśmy ze sobą porachunki... Ale to wszystko głupstwo wobec tego, co jest. Jesteście zagrożeni. A ja — jestem Polak... — Przyjechałem ostrzec. Niemcy ciągną od Gór Świętokrzyskich, a wszelki odwrót już przecięty. Jedyny ratunek — przebrać się po cywilnemu i pojedynczo się przemykać.

Spojrzał na pionową zmarszczkę na czole Hubala i uciął:

— Odmeldowuję się panu majorowi.

Czy nie chciał jako komendant policji komplikacji na swoim terenie? Czy też nieufność majora była niesłuszna?

Dusze ludzkie we własnym państwie, na wolności, są jak rzeka, która płynie swoim korytem do wiadomego

ujścia. Ale kiedy kataklizm zatamuje wody, porwie obwałowania, kiedy przemoc jak śruba uciśnie dusze, rozlewają się one jak wody bagniska na różne strony, każdy człowiek szuka sobie innego wyjścia; trudno poznać, gdzie Wallenrod, a gdzie szpicel, gdzie Mucjusz Scewola, a gdzie histrion, gdzie Winkelryd, a gdzie Tartarin de Tarascon.

Trudno poznać, aż przyjdzie czas próby. Na skromnego komendanta policji w Studziannej przyszedł czas próby w 1943 roku, kiedy samodwa z synem ostrzelał się najeźdźcom, zabił kilku i nie dał się wziąć.

Co kilka godzin idą patrole Hubalczyków duktami. Cały 27 kwiecień ptak się nie spłoszy, zwierz nie pomknie z określonej strony. Nie ma znaków niepokoju. Sójki skrzeczą po chojarach jak zawsze, dzięcioły łażą po pniach i opukują, mysikróliki smykają dołem podszycia, słońce łagodnie się kładzie drgającymi plastronami na mchach — rzekłbyś: ręka matki gładzi i spędza z czoła chorobliwe urojenia.

28 kwietnia przybiega gajowy: „Niemcy obsadzili na Pilicy wszystkie mosty i wszystkie brody, wiedzą już dokładnie o was".

Hubal wysyła Romana z Tadkiem i Brejerem pieszo w kierunku Pilicy. Jest już tak ciasno, że nie ma gdzie wysyłać konnych patroli.

Podpełzli rowami na trzysta metrów ku Pilicy. Widzą — brzeg aż roi się od Niemców. Roman obliczył ich na ośmiuset. Posłał Brejera z wiadomością i meldunkiem, że należy zarządzić ostre pogotowie. Uzupełniwszy spostrzeżenia, wraca w pół godziny potem. Konie posiodłane, czujki wystawione, ludzie przy broni. Ale major robi ostrą uwagę, że dowódca patrolu nie ma stawiać wniosków, tylko meldować, co widzi.

Oddział cofa się na kilometr w głąb. Coś dziwnego dzieje się z Hubalem, coś jak z wyżłem, który traci węch. Nie wysłał patrolu w kierunku przewidzianego marszu. Jest spokojny, stara się podżartowywać, ale oczy, zawsze wesołe oczy, które tak kontrastowały z pionową zmarszczką pojawiającą się w trudnych chwilach — są zgasłe. Jest to człowiek rozpięty na bólu psychicznym, napiętnowany fatalizmem, człowiek, który zginie.

Wrócił patrol Bema z wiadomością, że Niemcy wchodzą do lasu ze wszystkich stron. Jest po czwartej po południu. O tej porze? Bardzo już są, widać, pewni swego.

W trzy strony trzema duktami poszły śpiesznie patrole po trzech ludzi z erkaemami i zapadły. Żołnierz to już był oblatany, przekuty, a po bitwie pod Huciskami niebywale zadufany w sobie. Patrole przypuściły Niemców na bliskie dystanse i przyjęły skutecznym ogniem. Tałatajstwo odpłynęło wszędzie i na las począł się zsuwać zmrok.

Poszedł puszczą zimny wiatr. Zbyci szałasów, stali pod drzewami niepewni, nasłuchując. Tak wilcza rodzina, zruszona naganką, przystanie, nasłuchuje, kędy pierzchnąć.

I znów idą Roman, Brejer i Tadek ku Wólce, wsi nad Pilicą. Obawiając się, że w lesie napatoczą się na placówki niemieckie, wychodzą na bagnistą łąkę pod lasem. Zdjąwszy buty, brnąc wodą po kolana, robią wielki krąg, obchodząc wieś z przeciwnej strony.

Wieś stoi nieruchoma w czarnych opłotkach. Zbliżywszy się, rozeznają kilka punktów żarzących się papierosów. Dają jeszcze większy krąg — coś w polu bieleje. To kobiety i dzieci z węzełkami, żałosny pochód tych, którzy za nich będą płacić życiem. O Boże!...

Przeczekali, wyszli z bagien, włożyli buty, poczęli zbliżać się do wsi. Pierwsze dwie chałupy puste. Opłotkami przekradają się w kierunku, z którego przed półtora godziną widzieli żarzące się papierosy. Ale wieś jest zupełnie pusta. Niemcy wygnali ludność za Pilicę i sami wycofali się za rzekę.

Resztką nocy oddział przechodzi pod wieś Ponikłę. Tam była nauczycielka, do której wszyscy wzdychali. Nazywali ją „złote słońce Ponikły". Rozlokowali się w szkole. Przyniesiono im jeść — stypę. Próbowali spać. Świtem ruszyli na dwa kilometry w głąb lasów. Dalej iść nie było można. Ich dawne obozowisko zajęli już Niemcy.

Nieśpieszno Niemcom. Jest zimne okrucieństwo w tej nieśpieszności. Cały 29 kwiecień zmasowują się naokoło, pęcznieją coraz grubszym pierścieniem, nie wchodzą w las.

Pod wieczór Hubal każe ruszać. Jak gdyby poweselał — udziela się to natychmiast żołnierzom. Podchodzą pod Fryszerkę — małe osiedle. Pukają ostrożnie do młynarzowego okna. Wychyla się młynarz. Poznał i zaniemówił:

— Jezus Maryja — szepcze. — W stodole cała kompania leży.

— Przeprowadzi pan?

— Dobrze — wyłazi przez okno.

Prowadzi na Anielin. Już te wszystkie ruchy na tak małe dystanse, jakby chłopcy bawili się w wojnę. Ledwo ruszyli, już przed nimi dukt.

— Za dnia obsadzili go Niemcy, pójdę sprawdzić — szepcze młynarz.

Poszedł i zaraz dukt począł strzelać.

— Przeskakiwać — podał Hubal.

Pod nimi biały mech na piasku, ale tupotu dwudziestu dwu koni nie zatai. Przeskoczyli jednak, mimo ognia, bez strat.

I już Anielin. Słyszeli, zbliżając się do wsi, szczekające psy, a tymczasem jadą przez Anielin jakby wymarły. Istotnie, byli w nim Niemcy, ale sądzili, że przepuszczają szpicę. Wieczne ich złudzenia, że walczą z tysiącami.

Za Anielinem — gęsty jak szczotka młody zagajnik.

— Zaszyjemy się w niego — mówi Hubal — nie będą się spodziewali, że utknęliśmy im pod nosem. Jutro przewali się obława i odsadzimy się ze sto kilometrów.

Wpychają konie siłą w zagaj, nakładają karmniki na pyski.

— Oficer służbowy — wydaje rozkazy Hubal — podchorąży Dołęga; służba — Zemsta, Brejer, Kagankiewicz, Ryś.

Sam wyznacza im posterunki dookoła zagaja.

Nałamali ułani łapek świerkowych majorowi, przykryli plandeką. Tadek odrolował mu dwa koce. Położył się, zaczepiwszy o rękę cugle wierzchowca.

O piętnaście metrów, z cuglami zaczepionymi o rękę, z pistoletem na sznurze, przyległ Roman. Dwie doby nikt z nich nie spał; to prawdziwy los nie mieć służby. Dołęga, który ją ma, przysiadł — aby tylko na chwilę. „Chcę trochę odpocząć" — słyszy jego słowa Roman ostatkiem przytomności.

Stojący na posterunku Zemsta, ślusarz w cywilu, rozwiera oczy na las. Las szumi gęstym głuchym szumem. Raz po raz zdaje się chłopakowi, że coś sunie na niego,

ale to pada czerń chojara. Uspokaja się i znów odpływa w szum lasu. Potrząsa głową. Jest pewien, że nie śpi, na warcie spać nie można, od tego zależy los towarzyszy. Nie, nie śpi, tylko te cienie tak łudzą. Ot, znowu się taki nasuwa; chłopak z niecierpliwością podrzuca głowę. Widzi Niemca o pół kroku przed sobą z nastawionym karabinem. Chwyta za lufę, wyrwał karabin Niemcowi, pyrgnął w tył, szarpie Hubala.

Z nawyku skoczył major na równe nogi, ale śpi.

— Panie majorze, Niemcy! O, ich karabin.

Hubal bierze karabin:

— Dobrze, wracaj na ubezpieczenie.

Dobiega Lech — Hubal stoi zupełnie nieprzytomny.

— Patrz, Lech, karabin niemiecki — obraca broń w ręce.

A już gruchnęły strzały.

— Weź patrol na kierunek drogi! — krzyczy wytrzeźwiony Hubal do Lecha.

Jaki tu patrol, kiedy nieprzyjaciel na karku! Lech biegnie do ułanów, zaciągających popręgi. „Za mną!" Ociągają się. Tam — pewna śmierć, a tam — ucieczka. Wtedy — rzecz w oddziale niebywała — grozi pistoletem. Oprzytomnieli. Pobiegli samopiąt osłaniać odwrót.

A tymczasem Hubal skoczył do Romana i szarpie go za rękę. Roman już słyszy strzały, słyszy krzyki „halt!", ale chce się łudzić, że to sen.

— Romek, wstawaj! — krzyczy major.

— Co takiego? — pyta Roman, byle odwlec, byle jeszcze chwileczkę.

— Niemcy! — krzyczy w ucho Hubal.

Teraz i Roman przytomnieje. Rzuca siodło na konia, poprzęży.

A już słychać głos Hubala w innym miejscu:

— Alicki, do mnie!

Ogień narasta, widać do szpicy niemieckiej dobiega ich oddział. Koń Romana się płoszy, skacze mu na plecy, przewraca, niknie w gąszczu. Roman biegnie ku Niemcom, z nagła wynurzają mu się o piętnaście metrów. Rzuca granaty, strzela z Wisa. Popadli. Pierzchli. Roman wraca, na polance nikogo nie ma, natacza się Bem. „Gdzie major?"

W majora uderzyła salwa z odległości siedmiu — ośmiu metrów. Drgnął, pokazał na krzaki, wpadł w nie z Dołęgą i Tadkiem. Pewno podążył za Pilicę na umówiony punkt zborny. I Roman z Bemem idą w tym kierunku. Zwołują dwunastu ludzi, łapią cztery konie. Jedyny, który zdążył znaleźć się na koniu, to ksiądz Ptaszyński. Wypada na nim z chaszczy, wisząc na siodle z odbezpieczonym granatem, którego nie rzucił, a przetyczki się zbył. Brejer mu robi przetyczkę z sosnowej gałązki.

Poza majorem nie ma Dołęgi, Tadka, Rysia, Lecha i kilku innych (Tereska z wieczora została wysłana). Ruszają na punkt zborny, podany jak zwykle uprzednio. Jest to Rzeczyca za Pilicą, którą przechodzą pół w bród, pół wpław. W Rzeczycy swój człowiek, sołtys. Okolica pełna niemieckich kolonistów, więc czekają w mokradłach do zmroku. O zmroku zjawia się sołtys, przeprowadza do chałupy. Mówi, że Niemcy się chwalą, że „der tolle Major" poległ. „Pójdziemy stwierdzić" — decydują... Sołtys na tę imprezę wydostaje pięć cywilnych ubrań. Czekają, aż noc zapadnie.

O godzinie ósmej zjawia się Lech. Jego blada twarz o wystających kościach policzkowych, rzadki wąsik, wą-

skie usta i spłowiałe wodniste oczy, mogące znamionować okrucieństwo, stanowią teraz, jak i zwykle, maskę nie dającą się przebić żadnej ekspresji.

Wszedł kocim ruchem przez drzwi, jego charakterystyczna ręka, pokryta sinymi sznurami żył, drgnęła do pistoletu — zobaczył podejrzane zbiorowisko cywilów.

— Cywile za stołem? — wycedził drewnianym głosem, poznając swoich. — Nie w mundurach? Czy major zabity?

Bo przecie tak byli przez niego chowani — póki życia w ciele, póty mundur na karku — nie zdarty.

Ale oni zbyt byli porażeni pytaniem o majora, by odczuć potępienie w słowach Lecha. A więc i on nie wie?

Nie, nie wiedział i Lech. Karatał się z Niemcami na dystans, dosłownie, dwu kroków w tym szczotkowatym zagajniku. Niemcy zapadli, osadzili się, wtedy Lech ze swymi ułanami skoczył do tyłu za majorem. Ale Hubala na dawnym miejscu nie było. Niemcy długo nie nasuwali się, Lech ze swymi przetrząsał krzaki chyba z godzinę, póki było można. Gdy Niemcy znów ruszyli, wyrwali z zagajnika przeciwną, chociaż też obstawioną, stroną. Rzucili granat i niemiecka czujka z erkaemem uciekła.

Zjawia się Tadek. Wszystkie oczy zawisły na nim. To on z Dołęgą i majorem skoczyli w krzaki, kiedy plunęła w nich salwa z odległości kilku metrów. Tadek mówi, że z majorem i Dołęgą oraz trzema końmi znaleźli się na maciupeńkiej łysince. Major właśnie nogę usiłował włożyć w strzemię, koń mu się bardzo kręcił, kiedy dostali salwę z drugiej strony. Tadek skoczył kil-

ka kroków wstecz, na dawne miejsce, ale tam byli Niemcy. Pełznąc dołem młodych chojaków wyłabudał się z obławy.

Spojrzeli po sobie — nadzieja była coraz mniejsza.

I zaraz poszli w noc — każdy oddzielnie, a wszyscy o to samo: zbadać — czy żyje?...

Przebyli w pojedynkę rybackimi łódeczkami Pilicę.

Roman doszedł do Fryszerki. Znowu puka w młynarzowe okno — jak wczorajszej nocy.

Wyjrzał młynarz — poznał i zaniemówił.

— Jezus Maryja — mówi — to jeszcze... wy...

— Co z majorem?

Młynarz widział spędzonych tysiąc naszych chłopów, którzy byli przygotowani, aby poprzedzać niemiecki atak. Bo atak miał być przed świtem, a na zagaj napruli się, przesuwając ku duktowi linię. To ci chłopi mówili, że major nie żyje. Że trupy naszych wraz z jego ciałem powieźli do Studziannej. Że tam przyjechał jakiś generał. Że ze Studziannej powieźli zwłoki samochodem dalej. Wieźli też jedenastu swoich zabitych, w tym majora niemieckiego.

Alicki też przyniósł potwierdzenie wieści. Niemcy mieli znaleźć zwłoki w dole ziemnym (stąd się tłumaczy, że poszukiwania Lecha były bezskuteczne). Wywlekli na tę łysinkę i przeżgnęli pierś zmarłego czterokrotnie bagnetem.

I Lech przyszedł. Niemcy ściągnęli z Anielina wóz z gnojem. Rzucili ciało zmarłego na gnój i pastwiąc się, wieźli wśród urągań tłumiących się po lesie oddziałów. I jeszcze ciągnęli czterech zabitych Hubalczyków.

Dzień był, kiedy pozbierali się wszyscy, kiedy poskładali te wiadomości. A dzień — to bezruch i skrycie od tego światła, które należało do Niemców.

Poklękali więc, wszyscy, co ocaleli, piętnastu (i tylko jeszcze nie wiadomo było, co z Dołęgą i Tereską) w stodole i odmówili za księdzem „Anioł Pański". Potem wyleźli pojedynczo na blask dzienny. Byli jak ślepe kocięta i nie wiedzieli, co robić.

I wraz przyjechała Tereska, która miała głębszy wywiad.

Była w Studziannej, kiedy ich przywieźli. Naprzód niemieckie trupy i tego ich zmarłego majora. Studzianna mrowiła się od niemieckiego wojska — w szerokim terenie, z obsadzeniem wsi, szos, duktów i przeskoków, polowały na tych dwudziestu dwóch dwie dywizje. Kiedy dwa gnojowe wozy z trupami naszych wjechały za wozami wiozącymi poległych Niemców i kiedy okazało się, że jest pięciu tylko zabitych Hubalczyków — tłum żołdactwa ogarnął dziki szał. Grudy błota sypały się na zmarłych ze wszystkich stron.

W zamarłe oczy walono kamieniami. Twarze były tak zmasakrowane, że Tereska rozeznała tylko dziewiętnastolatka, kaprala Rysia — tego, który do końca bronił Warszawy i dołączył 29 września w Krupkach.

Nagle wyzwiska urwały się na najwyższej nucie, tłum stężał. Pod drugi wóz gnojowy podjechała czarna lśniąca chromami limuzyna. Wysiadł z niej szczupły, o ściągłej twarzy, generał niemiecki i podszedł do wozu, na którym leżał samotnie — der tolle Major.

Twarz jego, w okolu ciemnoblond brody o złotych refleksach, była blada i wykrwiona, ale — czy to, że wieźli go w drugim z kolei wozie, czy dzięki pedanterii niemieckiej, dbałej o identyfikację — nikt nie za-

drasnął tej twarzy. Oczu Hubalowi nikt nie zamknął, i teraz, mając obficie gnoju podsypanego pod głową, i jakby wyniesiony — patrzył w twarz tego, który kiedyś zmiatał przed nim z obławy, który teraz pokonał go... w rycerskiej walce.

Bo pierwszy akt niemiecki się skończył, drugi — na pożytek legendy — miał zacząć działać. Generał Blaskowitz, błyszcząc czerwienią generalskiego płaszcza, złotem bulionów, złotem liści na kołnierzu munduru, krzyżem żelaznym pod szyją, skrzypiący rzemieniami, w doskonale wyglansowanych butach, mając za sobą świetny sztab, salutował do daszka wgiętej pruskiej czapki — grottgerowskiego powstańca w kożuszku, z romantycznym zarostem. Rzekłbyś — improwizacja tamtych bezbronnych lat, kiedy ci z dwururkami poszli w lasy, w te lasy, pod tenże Anielin, w którym w 1914 roku potykali się niemal tacyż bezbronni chłopcy. Gdyby nie jedno — gdyby nie ten srebrny wycinek metalu na błękitnej wstążeczce, przypięty na kożuszku, gdyby nie nieustępliwy znak, świadczący, że ten poległy to żołnierz armii regularnej...

Co myślał generał Blaskowitz? Oto przed siedmiu miesiącami przyjmował w salonce niemieckiego dowództwa kapitulującego generała Rómmla. Te sto dziesięć tysięcy kapitulującego wojska to było ostatnie już, poza zlikwidowanym w tydzień potem generałem Kleebergiem, wojsko Rzeczypospolitej. Nie miała już ona twierdz ani składów, nie miała dział ani sprzętu, nie miała benzyny ani samolotów. I nagle te jego dywizje miesiącami muszą uganiać się po krzakach za tą garstką szaleńców. Aby w dwudziestym wieku kronikarz tej wojny mógł pisać tak samo jak w siedemnastym jego poprzednik:

Inne narodowie mają u swoich granic góry wysokie, morza niezgłębione. W Polszcze równina płaska, nikomu niebronna. Wróg komunikiem łacno wejść może, wynijść, miast napaliwszy, jasyr pobrawszy. Piersi tylko nasze a gardła, oto cała obrona, oto morze, oto góry, oto fosy a mury, oto cała obrona nasza.

Długo salutował generał Blaskowitz rzuconego na gnój przeciwnika. Powoli ręce świty poczęły podjeżdżać do daszków, za nimi salutowali oficerowie w tłumie, za nimi ryczący przed chwilą tłum zbierał kopyta na baczność. Generał Blaskowitz nie odejmował ręki od daszka, i tak stali zwycięzcy, nie wiedząc, jaką postawę zachować należy przed tym wozem; był trzydziesty kwiecień w południe i już majowe słońce, to, które zwykło dekorować umajone polowe ołtarze, zapaliło wzniesienie gnoju pod głową zmarłego w barwy złotogłowiu, z którego poduszki podtykano możnym rycerzom. Ziemia poczęła się robić lekka i przestronna pod nogami siorbającym Pietom Studziannej, które przechyliły się przez garnki hełmów, ziemia poczęła grzęzić błotem wciągliwym tym Niemcom, których nie zwierał glid, którzy tu musieli stać stadem niecierpliwym i zbaraniałym — każdy na własnych nogach dla siebie, każdy przy zesztywniałych rękach dla jakiegoś Schauspiel, po coś potrzebnego generałowi.

Tedy warknął Blaskowitz jakąś komendę przez ramię. Posunęli od lśniącej limuzyny świetni oficerowie i dźwignęli funkelnagelneu rękawiczkami ugnojone zwłoki. Złożyli je w samochód, ażeby held był uczczony, ażeby nikt nie powiedział, że pohańbiła rycerskiego przeciwnika armia niemiecka, pozostawiając go łaska-

wemu błotu Studziannej i siorbającym cywilnym Pietom.*

---

* W Tomaszowie natomiast ustawili mu katafalk w koszarach. W koszarach polskich, w których źle się czuł za życia. Teraz na dodatek były to koszary niemieckie. Ustawili mu nad głową puzony i dęli ponad miarę marsz żałobny Szopena zakazywanego w Polsce. Bo Reichswera to nie gestapo. Jest rycerska! Szef sztabu Blaskowitz wystąpił z przemową: „To — bohater. Gdyby każdy z nas był taki, już byśmy wojnę wygrali".

Wytopiwszy więc z ciała zmarłego tłuszcz dla odżywki rycerskich uczuć — na trzeci dzień wywieźli zwłoki i słuch o nich przepadł.

Na skutek moich starań o materiał o poległym majorze Dobrzańskim-Hubalu, siostra jego, ambasadorowa Papée, otrzymała następujący list od p. Zofii Pietrabissa, z domu Polki zamężnej za dyplomatą włoskim, datowany z Rio de Janeiro dn. 20. VII. 46 (w nawiasach wstawiam dopiski p. Papée):

Pytasz o moją rozmowę z Niemcem. Zostało mi to jak jakaś legenda — pamiętam słowa — a już nie pamiętam, gdzie to było (w Berlinie — przyp. P.), w roku 1942, zimą, a może wcześniej. Było wtedy kilku wielkich generałów — był to obiad u konsula generalnego Włoch. Nie wiedziano, że jestem Polką. Przy coctailu jeden z nich, najstarszy rangą (gen. von der Lippe — przyp. P.) w rozmowie po francusku filozofował na temat wojny. Twierdził, że nie daje mu ona satysfakcji, że jest łatwa, że nikt się nie broni, że każda bitwa jest z góry wygrana. Właściwie bili się tylko Polacy, bronili się jak lwy. Rozumiesz, jak waliło mi serce w tym momencie...

— Tak, oni bili się jak lwy — powtarzał jakby sam do siebie. — Ja sam urządziłem wspaniały pogrzeb ostatniemu z obrońców, ostatniemu z walczących, który bronił się w lasach aż do wiosny i poddać się nie chciał. Pogrzeb był wspaniały, nie mógłbym nic wspanialszego dać nawet naszemu bohaterowi, bo my, Niemcy, szanujemy, admirujemy wielkiego, godnego nas przeciwnika. I chociaż to wróg, na grobie kazałem postawić krzyż z napisem: „Hier liegt ein Held" (przyp. mój: taki grób nikomu w kraju nie jest znany). Zresztą może pani znaleźć i w pismach opowieść o Schimmel Major, jak go nazywaliśmy, jak duch bowiem zjawiał się na

białym koniu w otoczeniu swoich ludzi, atakował nas i niepokoił. Nazywał się Dobrzański. Ze zdumieniem usłyszałam swój własny głos, który pytał: „Czy ten słynny jeździec?" Nie dostałam odpowiedzi. Generał był ze swoimi myślami, najwidoczniej wzruszony swoją rycerskością, zadowolony z siebie.

Kochana — tyle lat, tyle wrażeń, ludzi — nie dziw się, nie gniewaj, że Twój Wielki Brat został mi tak jak był, jak biały duch.

I dlatego może wszystko, co jest dniem, datą, zwykłością — nie zostało przy mnie.

EPILOG

Znali więc prawdę: ten, któremu oddali bez reszty siebie, który myślał i decydował za nich przez te śmiertelnie trudne siedem miesięcy — nie żyje. Byli przez te siedem miesięcy w lasach, nie wiedzieli, co się przez ten czas dzieje, przenieśli się w nierzeczywistość we wrześniu, w państwie własnym, trwali w tej nierzeczywistości w „Oddziale Wydzielonym Kawalerii", aby — jak bohaterowie fantastycznych powieści — ocknąć się do życia na nieznanym lądzie nieznanej epoki.

Siedzą w lesie i radzą. Zachowane cztery konie odprowadził sołtys w inny koniec wsi, siodła pochował.

Ten las — to jedyna znana rzeczywistość. Już bezużyteczna. Dalej za tym lasem — niewiadome.

Drąży ich rozpacz i wstyd, że żyją, a oto major zginął. „Ale i ty nie masz prawa żyć po mojej śmierci" — powiedział.

Ale jak umrzeć? Żołnierz i samobójca — to dwie najodleglejsze antytezy. Żołnierz — zawsze chce żyć; szukał albo zwycięstwa, albo przetrwania, nie działał bez planu. A jaki tu plan? Bez wodza? W siedemnastu? (Bo jeszcze dołączył Dołęga; dopadł tragicznej nocy konia, uciekł z papierami i z kasą. Zostawił je u gajowego i przekradł się po cywilnemu.)

Pośmiertne zdjęcie majora Hubala

Lech siedzi oparty plecami o pień sosny. Puścił po kolanach pocięte żyłami dłonie: on tam nic nie wie — major kazał trwać do końca, a trwać, to znaczy bić się z Niemcami. I znowu ulubione Hubalowskie: „Nikt nas nie demobilizował..."

Alicki radzi przejść pod Włoszczowę, zaszyć się w lasy, może się coś zacznie?... A jak się nic nie zacznie — to do Francji.

Roman uważa, że bić się należy, ale z sensem. Mundur nie jest rzeczą najważniejszą, lecz walka, której formy się zmieniają. Trzeba przede wszystkim nawiązać kontakt z piechotą, a następnie z konspiracją.

Kontakt z piechotą!... Serce im się ścisnęło. W przejściach ostatnich trzech dni nie mieli czasu pomyśleć o losach Sępa.

Ksiądz podtrzymuje Romana: przejść należy do konspiracji, rozsiać się, a w sposobnej chwili skrzyknąć się — jako Hubalczycy.

Skrzyknąć się? Kto będzie wodzem? Najstarszy stopniem między nimi jest Lech.

Wtedy, tego samego dnia w Rzeczycy nad Pilicą zjawia się samodwa z drugim żołnierzem — Sęp. Tyle tylko zostało z piechoty.

Gdy się rozstali wówczas okrążeni w lasach pod Szałasami, nie wyskoczył tak łatwo z pierścienia obławy. Poległo dwunastu. Po przebiciu się przez obsadzoną szosę zostało mu dwudziestu ośmiu. Jeszcze kilkakrotnie przebijali się oddziałem zwartym. Mieli wielką siłę ognia — szesnaście elkaemów. Mieli duże straty, zostało ich kilkunastu, ale i Niemców narżnęli. Niemcy zaleli całe Góry Świętokrzyskie, samoloty stale mieli

nad głową; naprowadzały natychmiast ogień artylerii, gdziekolwiek się schronili. Walczyli dwa tygodnie; Sęp miał kilka dezercji, wreszcie rozpuścił oddział i z czterema żołnierzami przedzierał się do Hubala. Trzech poległo w tym przedzieraniu się, on z jednym doszedł.

Tak więc — było ich dziewiętnastu.

Sęp jest równy stopniem Lechowi. Ale żaden nie chce objąć dowództwa. Cień wspomnienia o Hubalu ciąży — któż żywy dotrzyma kroku legendzie?

Jednak — nie rozeszli się. Przesunęli się w Końskie trzema grupami. Kiedy te trzy grupy połączyły się znowu — znów ich było trzydziestu. To przekradła się reszta niedobitków Sępa, jacyś wydobrzali chorzy Hubala pozostawieni w marszu. Żołnierz to był prosty, przedwrześniowy. Nie zawiedli go nigdy dowódcy, i wierzył. Choćby nie wiem jak rozbity — czuciem wilka, psim węchem, chłopską zaciekłą wiernością, polskim sercem tropił trasę oddziału i znów się meldował.

Tylko — gdzie wódz?

Kazali oddziałowi się rozproszyć i czekać wezwania. Roman, Bem i Dołęga pojechali do Warszawy — szukać dowódcy. Swoich kontaktów nie mają — Iljin już w Oświęcimiu, Korab (Karpiński) prowadzi robotę w Radomsku, gdzie też go wkrótce rozstrzelało gestapo. Do władz konspiracyjnych po tych wszystkich rzeziach wsi, które nastąpiły po wypowiedzeniu posłuszeństwa przez Hubala, udawać się nie śmią.

Wówczas Świda, który ma jakieś kontakty w Miechowskiem, przez tamtejszą organizację znajduje rotmistrza rezerwy, który w 1919 roku był dowódcą Hubala.

Rotmistrz ma półtora metra w pasie, ale Świda jest dobrej myśli.

Zawsze to ktoś — bliski legendy.

Zwołują zbiórkę we włoszczowskich lasach. Znów obstawionymi duktami ciągną nocami umundurowani i zbrojni. Alickiemu, przemykającemu się z Tadkiem, zaświecił niemiecki patrol latarką o trzy kroki. Padli i wyładowali magazynki; kilka niemieckich trupów zostało na placu.

Wszyscy doszli, wszyscy się stawili. W mundurach. Jak nakazywał Hubal.

Tylko przyszły wódz przyjechał w cywilu, wygodnie, koleją, z dokumentami. W gajówce melduje mu się starszyzna. Z fasonem. Tak jak uczono w „Wydzielonym Oddziale Kawalerii" za najlepszych dni treningów w Gałkach.

Łypnął pomazaniec na te twarze ściągnięte, wpadłe pilne oczy, na ludzi leśnych wichrem przewianych, wygarbowanych deszczami, po stokroć przeskakujących szosy w łunach reflektorów, na weteranów potyczek nad Narwią, pod Kępą, w Górach Świętokrzyskich, pod Huciskami, pod Szałasami, nad Pilicą, w Anielinie i powiada:

— Hubal był u mnie ułanem, to prawda. Ale ja nie jestem Hubal i... radzę wam tymczasem się rozejść.

Zjadł jajecznicę przyrządzoną przez gajową i odjechał.

Jeszcze przez dwa miesiące (!) kręcą się po lasach spalskich. Na każdej gajówce na stałe Niemcy osadzili specjalną straż leśną w czarnych mundurach. Ludność ich nazywa „kruki", a te kruki wietrzą za żerem na samotnych i nie chcących kapitulować żołnierzach Hubala. Sęp we włoszczowskich lasach miał większą ha-

ratanine. Lis znalazł złoto przy zabitym Niemcu, rozłakomił się, poszedł „na swoje". *

Zapadli w lasach, oliwiąc broń, chroniąc mundury, meldując się na zbiórki — czekali aż dotąd, mimo wszystko — czekali. W tym późnym lecie wciąż nie nadchodzącej, wytęsknionej przez zimę wiosny.

Coraz gorzej było z tą wiosną. 14 maja kapitulowała armia holenderska — znak jawny. 19 maja przełamany front francuski — uparcie mówili wciąż o kieszeni, w której alianci odetną Niemców. 28 maja kapituluje Belgia — znak jawny i potwierdzenie. 30 maja Anglicy ewakuują się z Dunkierki — cóż pozostaje, aby żywić ich wiarę? 14 czerwca — pada Paryż. Głucho się robi na świecie — nie masz takiej potęgi by w największej stolicy świata, która by nie struchlała, w proch nie padła.

A przecież — trwają na tym cypelku niepodległości, obrzeżonym jodłowymi gałązkami.

17 czerwca marszałek Pétain wydaje rozkaz złożenia broni, a 21 czerwca wbrew temu rozkazowi jeszcze walczy Pierwsza Polska Dywizja Pancerna we Francji, jeszcze trwa Polska Brygada w Syrii i jeszcze trwają w lasach spalskich żołnierze „Wydzielonego Oddziału Kawalerii".

Aż teraz otò — 22 czerwca Francja podpisała zawie-

---

* Zebrał bandę w Górach Świętokrzyskich, liczącą przeciętnie dwudziestu ludzi, i grasował z nią jeszcze przez półtora roku. Był wierny obietnicom, które składał zbandycony Jura za życia majora — grabił tylko Niemców. Przeciągał przez szosę na ukos linewkę stalową, a kiedy samochód niemiecki rolował do rowu, zabijał i obierał pasażerów, odskakiwał na kilkadziesiąt kilometrów i po zacisznych melinach oczekiwał, aż zacichnie śledztwo. Co z nim się ostatecznie stało, nie wiem.

szenie broni... Na całym kontynencie nie masz już ani jednego ogniska oporu.

Wówczas, w dniu 25 czerwca, Brygada Kopańskiego przekracza granice Syrii.

I wówczas, w tenże sam dzień 25 czerwca, kiedy ich szczęśliwsi koledzy w tej brygadzie wystawili karabiny maszynowe przeciw spacyfikowanym trabantom generała Dentza, ich koledzy w lasach spalskich otrzymali rozkaz zbiórki.

Szli, jak chodzili po tej Polsce przez całe dziesięć miesięcy jej niewoli — w mundurach, z dystynkcjami, przy broni.

Na polanie przed leśniczówką stanął oddział czterdziestu dwóch umundurowanych żołnierzy Hubala. Bo tyłu, mimo zamknięcia werbunku, nasiąkło do lasów spalskich dawnych Hubalczyków. Prawdopodobnie w ten dzień nie zbrakło ani jednego z tych, którzy ocaleli po dniu oddania się Hubalowi na śmierć i życie w Gałkach.

Wódz ich nie żył, zobowiązania upadły. Obowiązek względem ojczyzny leżał gdzie indziej — tak uczyły nasze władze podziemne. Nadziei nie było, mogła być tylko zguba. I wodza nie było. Po tamtej stronie były wszelkie rozgrzeszenia, po tej wszystkie potępienia. A przecież szli na zbiórkę, zbrojno, w mundurach — wszyscy co do jednego, nie wiedząc, czy im nie każą ponownie uderzać na dywizje, na korpusy, na armie, na świat spodlały, struchlały, niewolny.

W chałupie zebrała się starszyzna: Sęp, Lech, Dołęga, Roman, Alicki i ksiądz. Jest i Tereska. Ta przez cały czas była aniołem opiekuńczym oddziału. Łącznie z Genią i Ludką zaopatrywały oddział w broń i papierosy.

Wyszedł przed chałupę Sęp — dowódca wyrżniętej, walczącej do końca piechoty. Zakrzyknął komendę — stężał umundurowany dwuszereg.

Wtedy wystąpił ksiądz — jedyny mowny. Wytłumaczył, że wojna przedłuża się, że nasze władze nalegają na rozwiązanie i że należy walczyć inaczej. Wzniósł okrzyk „Niech żyje Polska" i zakończył... po księdzowsku:

— Teraz klęknijmy i zmówmy „wieczne odpoczywanie" za majora.

Uklękli. Szło na lipiec 1940 roku. Słońce przez drzewa kładło blask na głowy klęczących. *

---

* Broń zabezpieczono i wykaz schowków przekazano przez Dołęgę władzom organizacyjnym w Opocznie. Dziennik działań, rozkazy, zdjęcia pochowano w wielu miejscach: pod Opocznem, Krasnym Stawem, pod Ruskim Brodem, pod Gałkami. Ludzie poszli do pracy konspiracyjnej, i większość z nich nie żyje. Nie mając dostępu do niczego, napisałem jednak, ilem wiedział, bo kruche i niepewne są nasze pamiątki, nasze dokumenty — równie kruche niemal jak życie świadków. Więc kiedy papier skręca się w ogniu, niechaj zostanie wolna pieśń o Hubalu.

SPIS TREŚCI

W nieznane 5
Pierwsza utarczka pod Maciejowicami 18
Dwie walki w Górach Świętokrzyskich 27
Będziemy pomostem między wrześniem i wiosną . . 37
Opały w Cisowniku 48
Ułani werbują, strzelcy maszerują, zaciągnę się... . . 55
Wilia i po Wilii 63
Szkolenie i... niesubordynacja 75
Wielki bój pod Huciskami 94
Okrążenie pod Szałasami 110
„Trędowaci" 129
Śmierć Hubala 146
Epilog 160

Redaktor
HELENA FRĄCZEK

Redaktor techniczny
ADAM MAŁASZEWSKI

INSTYTUT WYDAWNICZY „PAX"
WARSZAWA 1959

Wydanie I. Nakład 20 000 + 350
Format B6 spec. Ark. wyd. 6.5 ark.
druk. 10.5 + 4 wklejki. Papier druk.
m/gł. kl. IV 65 g, z fabryki papieru
w Kluczach. Oddano do składania
1. IV. 1959 r. Podpisano do druku
w maju. Druk ukończono w maju 1959.
Zam. nr 433. D-11

Copyright by Instytut Wydawniczy
„PAX"

Printed in Poland by Toruńska Drukarnia
Dziełowa — Toruń, Katarzyny 4

Cena zł 18.—

ochłonąwszy z zaskoczenia nie ustępują. Widać musiało ich być dużo, skoro przyjęli walkę w lesie.

Od gęstwy strzałów gałązki sypią się na głowę. Leżymy grupkami, ciasno jeden przy drugim. Podszyty las to nie otwarte pole. Trzeba być gotowym w każdej chwili do skoku.

Niemcy są tak blisko, że słychać wyraźnie, jak się nawołują. Naprzeciw nas usadowił się ich kaem. Matynia próbował go uciszyć. Granat upadł blisko — zawadził o krzaki. Strzępy gałęzi, chmura igliwia i mchu opadła w naszą stronę.

— Szybciej strzelaj! — krzyczę do najbliżej leżących. — Oni podają rozkaz dalej.

Minuty dłużą się jak godziny. Czas uderzyć bagnetem. Hubal zawsze mawiał: „Walka w lesie — to ruch i ogień; żadnych pozycji".

Nagle na skrzydle ułańskim rozległ się okrzyk: „Hurra!" Tam są Rodziewicz i Bem. Poderwali swoich. I zaraz potem piechurzy nie strzymali. Skoczyli naprzód.

Sęp — Marek Szymański
były żołnierz oddziału majora
Hubala
(fragment wspomnień)